

389 919

WSPOMNIENIA
NAUCZYCIELKI ANGIELKI
NA DWORZE BERLIŃSKIM

(1909—1914)

PRZEKŁAD
ZOFJI SOKOŁOWSKIEJ



Henryk Jabłoński

MOSKWA
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI „GAZETY POLSKIEJ”
1916

388 919



Drukarnia Polska w Moskwie M. Głodkowskiego i S-ki.

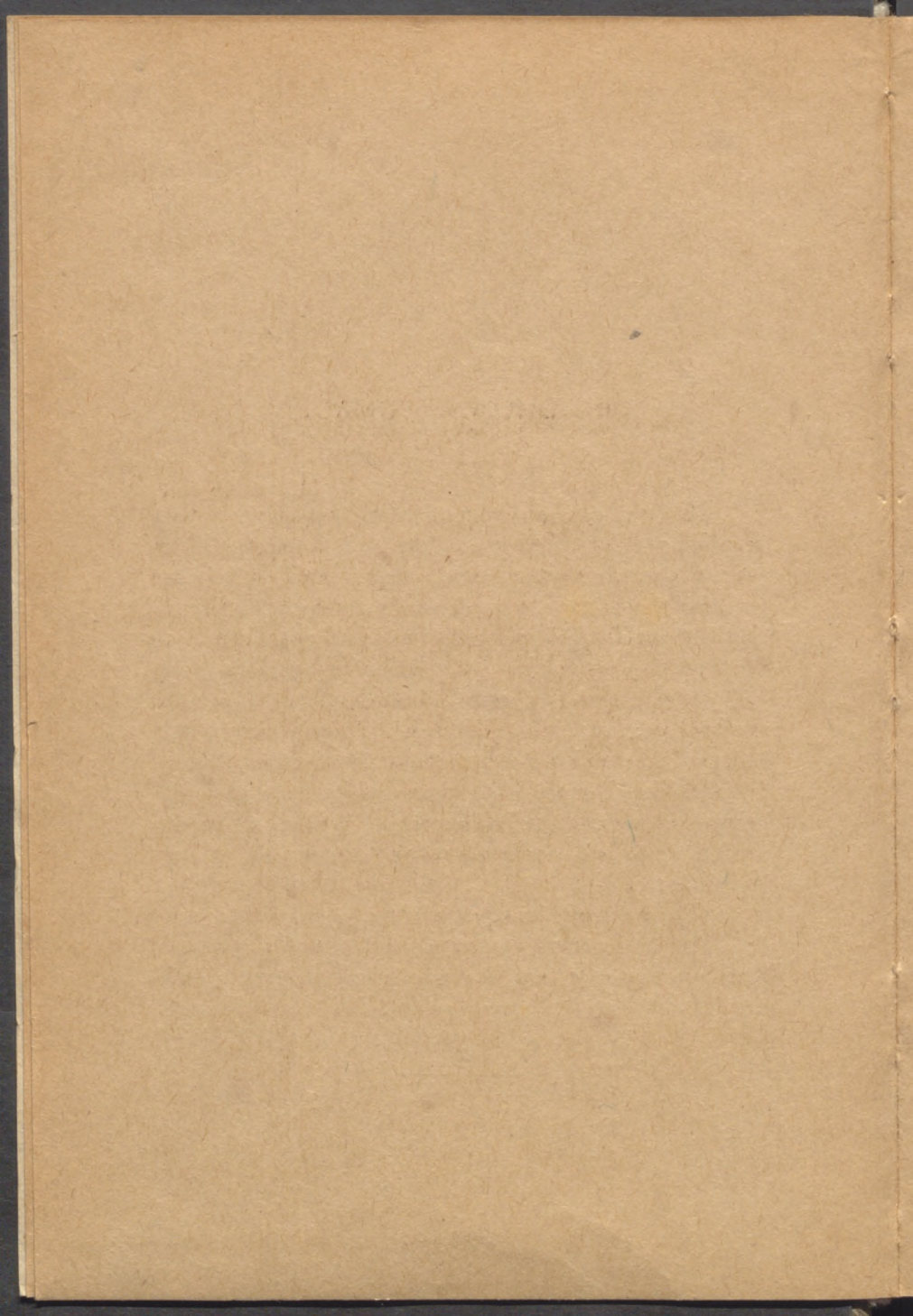
K. 1021/68

PRZEDMOWA TŁÓMACZKI

Książka, napisana przez bezimienną autorkę, nauczycielkę dzieci kronprinca, stanowi dokument historyczny pierwszorzędnej wagi, przedstawiając bowiem w prawdziwym świetle nastroje dworu i kierowniczych sfer niemieckich, nie pozostawia żadnej wątpliwości co do tego, *kto* wywołał obecną wojnę europejską.

Należy jednak uprzedzić czytelnika, że autorka wiedzona uczuciem delikatności, pragnie zataić imię i stanowisko swoich chlebodawców, wysuwa więc na ich miejsce jakąś nieistniejącą parę księżęcą, jakoby spokrewnioną z cesarzem Wilhelmem. Ale łatwo się domyśleć, że to jest mowa o następcy tronu niemieckiego i jego żonie.

Oprócz tego jednego szczegółu, pamiętniki młodej Angielki tchną bezwzględną prawdą, prostotą i szczerością, a w tem leży największy ich urok i znaczenie.



ROZDZIAŁ I.

Wstęp. — Przyjęcie obowiązku. — Przyjazd do zamku X.

Szczególnym zbiegiem okoliczności zostałam uwięziona w zamku nad Renem d. 31-go sierpnia r. 1914, ściśle w pięć lat po przyjęciu miejsca nauczycielki języka angielskiego w książęcej rodzinie, do której zamek ten należy. Przez pierwsze cztery lata spełniałam jak najlepiej moje obowiązki, dopiero w ostatnim roku postępowaniem mojem kierowały inne pobudki, ale to pochodziło ztąd, że uważałam za potrzebne dać pierwszeństwo mojej powinności względem ojczyzny nad obowiązkami względem książęcej rodziny niemieckiej. Księżstwo byli moimi „pryncypałami“, ufali mi najzupełniej, dosyć że dziś jeszcze nie jestem zupełnie pewna, czy postąpiłam właściwie. Wiem tylko, że w powtórnym takim wypadku uczyniłabym to samo.

Niejeden może uznać, że biorąc wynagrodzenie od księcia, spokrewnionego z cesarzem niemieckim, nie powinnam opisywać tego, co widziałam, słyszałam i odgadrywałam w kwestjach dotyczących się polityki. Jedyne dla mnie usprawiedliwieniem będzie moja szczerość; będę musiała odstąpić od tej zasady tylko w tych razach, kiedy będzie mowa o imieniu i stanowisku rodziców moich uczniów; ojciec ich, a szczególnie matka

okazali mi wiele życzliwości nawet podczas ostatnich miesięcy mego pobytu, kiedy groziło mi niebezpieczeństwo. W każdym razie winna im jestem wdzięczność, a więc czytelnicy muszą mi wybaczyć, jeżeli nie będę trzymała się ściśle prawdy, skoro w toku mego opowiadania wspominać będę o parze książęcej.

Ale to nie tyczy się znakomitych osób, które spotykałam w ich domu; względem nich nie mam żadnych obowiązków. Zresztą większa ich część zrzuciła od razu maskę, pod którą ukrywała wrogie uczucia dla Angliji, a raczej dla całego rodzaju ludzkiego z wyjątkiem tej części, ulegającej „kulturze“ niemieckiej.

Zanim rozpocznę opis moich „odkryć“ niemieckich, muszę wprzód objaśnić czytelnika, w jaki sposób dostałam się do Niemiec.

Mój ojciec, Anglik z dobrej rodziny, za młodu był urzędnikiem przy naszym poselstwie w Waszyngtonie i ożenił się tam z młodą Amerykanką, której ojciec, oficer marynarki, wiele podróżował po świecie i w ciągu swoich wędrówek miał sposobność poznać obecnego cesarza przed wstąpieniem na tron, oraz jego brata, księcia Henryka pruskiego. Dziadek nieraz powtarzał, że zawdzięcza to spotkanie biegłości w obcych językach, umiał bowiem po niemiecku, po francusku, po włosku i po hiszpańsku.

Chcąc mu się przypodobać, rodzice wzięli dla mnie bonę Niemkę, której nie cierpiałam, podobnie jak wszystkiego, czego mię uczyła. Nie przypuszczałam wówczas, jakie skutki będą miały kiedyś dla mnie te nienawistne lekcje: im zawdzięczam to, co przesłam.

Byłam jeszcze małą dziewczynką, kiedy obowiązki zawodu sprowadziły mego ojca do Anglii. W kilka lat później oddano mię do Queen's College, gdzie pozostałam do śmierci mego ojca. Miałam wtedy 18 lat. Matkę straciłam już wcześniej, a ponieważ ojciec nie zostawił majątku, zaczęłam uczyć się stenografji w nadziei otrzymania miejsca sekretarza. Tymczasem krewni ojca, którzy posiadali duże wpływy i znaczne stosunki, polecili mię amerykańskiemu mężowi stanu, bawiącemu w Londynie; potrzebował on młodej Angielki, jako nauczycielki i towarzyszki dla 15-letniej córki jedynaczki. Dzięki temu wróciłam do Waszyngtonu, gdzie urodziłam się i spędziłam pierwsze osiem lat życia.

W kilka tygodni po moim przyjeździe do Waszyngtonu spotkałam księcia Henryka pruskiego, który w r. 1902 po zamęcie z Manillą, przybył do Ameryki dla uspokojenia opinji. Niezmiernie uprzejmy dla wszystkich—taki właśnie był cel jego przyjazdu—szczególnie okazywał względy rodzicom mojej uczennicy. Przez nich zostałam mu przedstawiona nie tylko dla mojej znajomości niemczyzny, ale także z powodu mego dziadka, oficera marynarki; gdziekolwiek mię prowadzono, zawsze wymieniano jego nazwisko, żeby nadać mi większe znaczenie w świecie.

Księżę Henryk raczył przyjąć mię bardzo łaskawie i może przez grzeczność zapewniał, że doskonale pamięta mego dziada, swojego znakomitego kolegę z marynarki amerykańskiej.

— Jak to się stało, że pani, różniąc się od większości Angielek i Amerykanek, posiada nasz język?—zapytał.

Odpowiedziałam mu, że uczyłam się po niemiecku w dzieciństwie, a potem chciałam czytać Schillera i Goethego w oryginale. Dodałam, że uwielbiając Wagnera, byłabym niepokieszona, gdybym nie rozumiała tekstu jego oper.

Moja odpowiedź podobała się księciu, który mimo szorstkiego pozoru, przepada za muzyką. Oświadczył mi, że podziela moje uwielbienie dla Wagnera, różni się pod tym względem od cesarza; to dało początek dłuższej rozmowie, w której książe raczył porównywać nasze upodobania artystyczne.

Po wielu latach spotkaliśmy się znowu w Londynie. Książe odwiedził tam jednego zo swoich dawnych przyjaciół, lorda X. i dowiedziawszy się, że jestem damą do towarzystwa i sekretarką lady X., oświadczył, że byłoby mu bardzo przyjemnie odnowić znajomość ze mną. Wezwano mię natychmiast i książe zaczął wypytywać się, co przez ten czas robiłam. Zestarzał się bardzo i stał się jeszcze podobniejszy do Cesarza Mikołaja.

— Jak to być może? — zawołał—że pani, która tak uwielbia naszych wielkich ludzi, nie była nigdy w Niemczech? Musi pani tam przyjechać. Myślę właśnie o jednym zajęciu bardzo dla pani stosownem i będę się starał zdobyć je dla pani.

Ośmieliłam się zapytać o rodzaj tego „zajęcia“, lecz książe potrząsnął głową.

— Cierpliwości! — odparł wyborną angielszczyzną, uśmiechając się zagadkowo—owoc jeszcze nie dojrzał.

Czy istotnie przypomniał sobie o mnie po powrocie do Niemiec, jak później utrzymywał? Dostyc, że w kilka lat później, w r. 1909, pewna wielka dama z arystokracji pruskiej, napisała do lady X, jako do

osoby bardzo wybitnej, pytając się, czy nie mogłaby polecić jakiej młodej Angielki dobrze urodzonej i dobrze wychowanej, odpowiedniej na nauczycielkę do dzieci pewnego księcia z Cesarskiej rodziny niemieckiej. Miał on dwóch synków, którzy mogliby już zacząć systematyczną naukę języka angielskiego; do lekcji będzie także należała mała siostrzenica księżnej. Nauczycielka nie powinna mieć jeszcze lat 30, gdyż zdaniem księżnej, jedynie młodą osobę mogą zajmować gry i nauka dzieci. Żądano również od niej pewnej biegłości w języku niemieckim, gdyż wiele osób w domu nie rozumiało wcale po angielsku.

Tak się złożyło, że z różnych przyczyn natury osobistej pragnęłam wtedy opuścić Londyn i wspomniałam nawet lady X, że mam zamiar wyrzec się miejsca, które zajmowałam u niej. Myślałam o powrocie do Ameryki. Otóż lady X, po odebraniu listu owej arystokratki pruskiej, zapytała mię, czy nie zgodziłabym się przyjąć tych obowiązków.

Myśl o odpowiedzialności, którą wzięłabym na siebie, oraz wysokie stanowisko osób, między którymi musiałabym żyć, przeraziły mię z początku, lecz życiwe nalegania lady X przekonały mię nakoniec. Zostałam gorąco przez nią polecona i po dopełnieniu różnych formalności, mających wielkie znaczenie w Niemczech, umowa została zawarta. Już w przyszłym miesiącu miałam puścić się w drogę, sama i pełna obaw.

Przed wyjazdem nasłuchiłam się w Londynie tyśiąca szczegółów o rodzicach moich uczniów. Na progu nowego życia które mię czekało, każdy czuł się w obowiązku ostrzedz mię i przygotować. Te opowiadania były jednak tak sprzeczne, że postanowiłam niczemu

nie wierzyć. Lepiej czekać, aż poznam osobiście parę księżecą, a tymczasem poprzestać na objaśnieniach, dostarczonych przez Kalendarz Gotajski.

Z niego dowiedziałam się, że oboje byli jeszcze bardzo młodzi; że księżna była w połowie cudzoziemką i mogła powołać się na dłuższy szereg przodków, niż jej małżonek; że zajmował on w armii bardzo wysokie stanowisko na swój wiek; wreszcie, że księstwo posiadali pałace w Berlinie i Potsdamie, willę w Czarnym Lesie i zamek nad Renem.

Przed samym wyjazdem otrzymałam telegram, donoszący mi, że zaszła zmiana w danych mi poprzednio poleceniach. Zamiast do zwykłej w lecie rezydencji księstwa, kazano mi jechać do zamku nad Renem. W Potsdamie wybuchnęła zaraźliwa choroba, skutkiem czego śpiesznie usunięto stamtąd moich przyszłych uczniów. Ta zmiana była mi bardzo na rękę, skracała bowiem podróż, pobyt zaś w zamku nad Renem nęcił mnie swoją romantycznością.

Około 4-ej popołudniu wysiadłam na stacji najbliższej zamku. Czekał na mnie popielaty samochód z herbami, obszerna i wygodna karetka o miękkich siedzeniach, z oknami dokoła; były one od wewnątrz zakratowane, żeby w razie rozbicia szyby, kawałki szkła nie dostały się do środka. Nazwisko fabrykanta na osiach kół świadczyło, że jest to wytwór przemysłu niemieckiego. Dowiedziałam się później, że książę Henryk pruski, mój „protektor“, któremu należy się głównie zasługa wprowadzenia do Niemiec automobilizmu — miał udział w zyskach — ofiarował księżnie ten samochód do wożenia dzieci.

Waham się przyznać do tego, co będzie może uważane za dzieciństwo, ale zimny wyraz oczu palacza i lokajów dworskich sprawił na mnie przykre wrażenie i przypomniał, że jestem cudzoziemką, córką narodu mało lubionego. Wszyscy zapewniali mię, że służba niemiecka, zwłaszcza w arystokratycznych domach, jest wzorem sumienności i uprzejmości, tymczasem te automaty lodowato grzeczne, obciśnięte w elegancką liberję, w kapeluszach zanadto błyszczących i zamałych na ich okrągłe głowy, sprawiły na mnie wrażenie o wiele mniej przyjemne, niż najsztynniejsi i najbardziej flegmatyczni ich koledzy angielscy. Cała służba księstwa była pochodzenia pruskiego; zimne jej obejście było dla mnie pierwszym objawem niechęci Prusaków do wszystkiego co angielskie, zanim inne dowody upewniły mię, że to uczucie jest ogólne.

Mała liczba podróżnych wysiadła wraz ze mną na tej stacji, wszyscy jednak na widok służby książęcej, która na mnie oczekiwała, zaczęli przyglądać mi się ciekawie. U nas taką naiwną ciekawość zaledwie przebaczyliby się dzieciom; Niemcy głównie grzeszą nią względem cudzoziemców.

Wznoszący się nad brzegiem Renu zamek zbudowany z kamienia, nie zawiódł moich oczekiwań. Rzadko te stare zamczyska służą teraz za miejsce pobytu dla osób wyższego stanu, które po większej części wolą przebywać w rezydencjach, urządzonych w sposób nowoczesny. Byłam zachwycona starożytnym brukowanym dziedzińcem, na który wychodziły ogromne podwoje nabijane żelazem.

Na moje spotkanie wyszedł mały gruby staruszek o rumianej twarzy, w liberji książęcej, w różowych

pończochach i zaprowadził mię do wielkiego kamiennego przedsionka, do którego wchodziło się z ganku. Podobny był do kolorowych karykatur Niemców w humorystycznych dziennikach francuskich, ale wydał mi się bardziej ludzki, niż lokaje z samochodu. Rozpromienił się, kiedy przemówiłam do niego po niemiecku i odpowiedział mi z uszanowaniem; uderzyła mię względna miękkość jego akcentu. Okazało się, że on jeden tylko śród całej służby pochodził z południowych Niemiec i dlatego różnił się od innych.

Powiedział mi, że oczekują mię i że „łaskawa pani“ zaraz zaprowadzi mię do pokojów dla mnie przeznaczonych. Jeszcze nie skończył kiedy ukazała się owa „łaskawa pani“. Była to niemłoda osoba z twarzą zmęczoną o tłustych obwisłych policzkach i zapadniętych oczach. Była tak ciężka i otyła, że z trudnością mogła się poruszać. Przekonałam się później, że wszyscy Niemcy i Niemki w średnim wieku — z wyjątkiem oficerów — odznaczają się dziwną ociężałością ruchów; patrząc na nich, wydaje się, że ciągną za sobą jakiś stół lub krzesło. Wyraz dziwnego znużenia w oczach tej kobiety świadczył, że życie straciło dla niej wszelki powab.

Nie znając jeszcze zwyczajów niemieckich, nie wiedziałam, ktoby to mógł być, ale ona sama przedstawiła mi się z życzliwym uśmiechem, jako „guwernantka“ małej księżniczki. Powiedziała mi następnie, że księstwa niema obecnie w zamku, niezmiernie żałowali, że nie mogłam być tu przyjęta przez jaką osobę wyższego stanu. Musiano śpiesznie wywieźć dzieci z Potsdamu w obawie, żeby się nie zaraziły, tymczasem Ich Książęć Moście nie mogły uwolnić się od swoich zobo-

wiązań. Wogóle para księżęca bardzo rzadko przebywała w zamku X.

— Czy kochana pani uwierzy — mówiła guwerkantka księżniczki — że tego lata rodzina milionerów amerykańskich miała bezczelność zaproponować Ich Księżęcym Mościom wynajęcie zamku? Co prawda, nikt u nas, w wyższych klasach nie odrzuciłby takiego interesu, ale wobec Ich Książęcych Mości to był przecież szczyt zuchwalstwa. Ci Amerykanie wyobrażają sobie, że wszystko im wolno, ponieważ mają pieniądze... Ale przepraszam panią, nie miałam wcale zamiaru obmawiać ziomków pani.

Odpowiedziałam, że bynajmniej nie czuję się obrażona.

— Jestem Amerykanką tylko przez matkę — dodałam — mój ojciec był Anglikiem i skutkiem tego jestem poddaną angielską.

Pocziwa pani L. osłupiała.

— Mówiono nam, że pani jest Amerykanką — zawołała — najmocniej panią przepraszam, jeżeli moja uwaga wyda się zbyt śmiała, ale na miejscu pani nie kwapiłabym się tak bardzo z wyjawieniem mojej prawdziwej narodowości... rozumie pani? idzie o to, żeby nie stwarzać sobie nieprzychylnego uprzedzenia.

Miałam ochotę odpowiedzieć, że zostałam zgodzona właśnie dla mojej narodowości, z której się chlubię, ale po chwili namysłu dałam temu pokój, widziałam bowiem, że biedna kobieta powiedziała to przez życzliwość dla mnie.

Zamek był stosunkowo mały, stanowił jednak taki labirynt schodów, przejść i korytarzy, że niełatwo było odnaleźć drogę. Pani Z. zaprowadziła mię do moich

pokojów: sypialni i saloniku; z okien o głębokich wnękach roztaczał się cudowny widok. Sypialnia musiała dawniej być ubieralnią, była bowiem tak szczupła, że musiano postawić łóżko przy oknie. Sprzętów było niewiele i to nieliczących z sobą, przeważnie starych dębowych; śliczny stoliczek z czerwonej laki chińskiej przeznaczony był na biurko. Wokoło ścian pokrytych jasnym kretonem francuskim dla rozweselenia ciemnych pokoiów, biegła dębowa lamperja. Sofa obita niebieską brokatelą okropnie raziła przy innych sprzętach. W wazonach na kominku sterczało kilka róż, ale w pokoju przeznaczonym dla nauczycielki nie było ani jednej książki.

Pani Z. przeproszała mię, że nie będę miała własnej łazienki; wogóle było ich w zamku niewiele i to urządzonych w sposób bardzo pierwotny. Ale niech mi się nie zdaje, że rodzina książęca i w innych rezydencjach obywatela się bez wygód. W Berlinie i Poczdamie, a nawet w Czarnym Lesie było w pałacach dużo łazienek, lepszych, niż gdziekolwiekbydz, jak mówiono!

Moi przyszli uczniowie byliby radzi jak najprędzej zapoznać się ze mną. Pani Z. zapytała mię, co wolę: czy napić się kawy lub herbaty i odpocząć przed widzeniem dzieci, czy też poprawiwszy włosów, zaraz pójść do nich. Widziałam, że poczciwa kobieta pragnęła jak najrychlej zaprowadzić mię do małych książąt, odpowiedziałam też, że bynajmniej nie jestem zmęczona i chcę tylko otrześć się z kurzu. Dodałam, że chętnie wypiję filiżankę herbaty.

— A zatem za pół godziny przyjść po panią.

Skorzystałam z tego, żeby przyprowadzić do po-

rządki mój ubiór i włosy, popijając tymczasem herbatę ze starożytnego srebrnego imbryka. Była obrzydliwa i pełna listków, ale śmietanka i *Kuchen* były wyborne.

Jeszcze nie byłam gotowa, kiedy weszła pani Z. Przepraszała mię za listki w herbacie i zapewniała, że pobyt w tym zamku napół opuszczonym nie może dać mi wyobrażenia o rzeczywistym sposobie życia Ich Książęcych Mości. Chciała mię przekonać, że Berlin, Potsdam i inne miasta niemieckie stoją wiele wyżej od Anglii.

Wkrótce uczyniłam odkrycie, że *Frau Z.*, oraz druga osoba, zajmująca ważniejsze od niej stanowisko, a mianowicie „guwernantka“ książąt były jedynymi „wysoko położonemi“ kobietami, które towarzyszyły tu moim przyszłym uczniom. Oprócz nich i kilku młodych bon, była jeszcze w zamku gospodyni, stale tu zamieszkała, osoba, dbająca tylko o siebie i naturalnie o dostojnych członków rodziny cesarskiej.

Co się tyczy guwernantki książąt, dowiedziałam się od *Frau Z.*, że była to Szkotka. Jednocześnie dano mi do zrozumienia, że udała ból głowy, aby uwolnić się od obowiązku powitania mię. Uważała, że książęta są jeszcze za młodzi, żeby mieć nauczycielkę i moje przybycie rozgniewało ją na równi z przyjazdem porucznika X., „guwernera wojskowego“, który miał wykształcić starszego księcia na prawdziwego żołnierza ciałem i duszą.

— Chłopcy uwielbiają już pana porucznika, chociaż znają go dopiero od tygodnia — mówiła dalej *Frau Z.* — Uważają sobie za wielkie szczęście, że będą żyli w towarzystwie prawdziwego wojskowego. Przy-

tem porucznik był ulubionym uczniem hrabiego Zep-
pelina i przywiózł im grę, wymyśloną przez hrabiego
dla młodych księząt w tym celu, żeby zaszczepić w nich
ducha wojennego. Dzieci właśnie bawią się razem
z moją księżniczką i prosiły, żeby pozwolono im zbu-
rzyć Londyn przed wieczerzą.

Słyszając te słowa, musiałam szeroko otworzyć oczy,
gdyż *Frau Z.*, która przy najlepszych chęciach ciągle
popelniała „bąki“, znowu zaczęła mię przeproszać.

— To tylko dziecinna gra — tłumaczyła — niech
pani sobie nic nie wyobraża. Przy zabawie trzeba
przecież dawać nazwy miastom i dziś właśnie przyszła
kolej na Londyn.

Mniejsza o to! Byłam nadzwyczaj ciekawa po-
znać grę, wymyśloną przez hrabiego Zeppelina dla
moich małych uczniów, grę tak zajmującą, że dzieci
przekładały ją nad wieczerzę!

ROZDZIAŁ II

„Gra wojenna“ hrabiego Zeppelina.

Zamek otoczony był obszernym ogrodem, z którym łączyły się wspaniałe lasy. W jednym kącie tego ogrodu — dość zaniedbanego, ale tem ładniejszego — stała kręgielnia pokryta szklanym dachem. Idąc z panią Z. ścieżką wysadzaną różami, usłyszałyśmy dochodzące stamtąd radosne okrzyki.

— Pewno im się udało! — z żywością zawołała moja towarzyszyka.

— A więc to jest rodzaj gry wojennej? — zagadnęłam.

— Tak — odrzekła — księżęta nie dbają o inne gry, a moja mała księżniczka lubi to wszystko, co oni. Robi się z niej istny chłopiec.

— Przecież księżęta są jeszcze bardzo młodzi! Starszy ma dopiero sześć lat, a młodszy pięć. Cóż takie dzieci mogą wiedzieć o wojnie?

— Zdziwi się pani, jak wiele o niej wiedzą. Wszak oni są tylko żołnierzami i byli nimi nieledwie od kołyski, jak mi mówiono. Co do mnie, nigdy ich innymi nie widziałam.

Pomimo hałasu, sprawianego przez małych wojaków, w kręgielni musiano usłyszeć nasze głosy, gdyż



z za filarów, otaczających pawilon, wyszła wysoka, koścista, 50-letnia kobieta o rudych siwiejących już włosach, podążając z wolna na nasze spotkanie. Wyraz jej szerokiej zmęczonej twarzy świadczył o pewnej do mnie niechęci, mimo to podobała mi się i zapragnęłam od razu zjednać ją sobie. Może wyczytała to z moich oczu, nagle bowiem siwe jej oczy złagodniały, postawa stała się mniej sztywna. Dobrze mówi nasze przysłowie, że krew jest silniejsza od wody, a nawet od piwa niemieckiego: na widok rodaczki uprzedzenie pani M. (była niezamężna, ale przez uszanowanie mówiono do niej „pani“) od razu się rozwiało.

Wyraziła mi swój żal, że z powodu silnej migreny nie mogła wcześniej mię przywitać, ostatecznie jednak przyszła pilnować dzieci. Mówiła okropnym akcentem szkockim.

— Tak się cieszę, że widzę tu kogoś z naszego kraju! — rzekła.

Słowa jej sprawiły mi wielką przyjemność.

— Gdyby nie ta nowa gra, dzieci już naprzykrzałyby się pani — dodała — ale w tej chwili zajęte są wyłącznie rzucaniem tych obrzydliwych pigulek, które nazywają „bombami“. Możemy tu poczekać na koniec partji, gdyż przedtem nie spostrzegą nawet naszej obecności.

— Nie mogłabym zobaczyć ich zdaleka? — zapytałam — tak mi pilno je poznać!

To było możliwe. Otyła Niemka i chuda Szkotka zaprowadziły mię do kręgielni i stanawszy za mną, przyglądały się grze, która na każdej z nich odmiennie sprawiała wrażenie, zależnie od różnicy usposobień i pochodzenia.

Co do mnie, zaledwie rzuciłam okiem na tę „zabawę“, doznałam istnego wstrząśnienia i pomyślałam, że to rzecz straszna zachęcać niewinne duszyczki do niszczenia. Dopiero później — wyznaję to ze wstydem — widząc się zupełnie bezsilną, pogodziłam się z tą grą i z innymi. Dogadzały one dzieciom i rodzicom, dosyć że i ja w końcu zaczęłam wmawiać w siebie, że to jest niewinna rozrywka, która miała podniecić w książętach ducha wojowniczego.

Na drewnianej podłodze, trochę wywyższonej, rozstawiono prawdziwe miasto, składające się z ruchomych domów, kościołów, teatrów i magazynów. Były tam również parki z alejami drzew i stawy, naśladowane za pomocą blaszek miki. Na pierwszy rzut oka przypominało to zabawki z ogródków dziecięcych, tylko powiększone do ogromnych rozmiarów, ale przypatrzysz się lepiej wynalazkowi hrabiego Zeppelina, przekonałam się, że nie miał on nic wspólnego z ogródkami dziecięcymi. Podczas kiedy złotowłose chłopię śledziło ze wzruszeniem każdy ruch graczy, skacząc przytem nieustannie, starszy braciszek, ośmioletnia dziewczynka i młody elegancki oficer w mundurze gotowali się do puszczenia na Londyn statków powietrznych.

Małeńkie sterowce były wykonane z nadzwyczajną dokładnością, tylko same balony w kształcie kiełbasek były za grube stosunkowo do małeńkich łódeczek, przyczepionych u spodu. Utrzymywały się w powietrzu za pomocą osobnego mechanizmu, a do kierowania służył długi szary sznurek, zawieszony przy każdym. Drugi sznurek, cieńszy, czerwonego koloru podobnie jak łódeczki, inne miał przeznaczenie.

Właśnie starszy książę, na którego wypadła kolej

grać, puścił swój zeppelin i jakiś czas krążył nad miastem, jak gdyby chciał przerazić mieszkańców. Motor brzęczał, jak budzik, albo wielki owad. W tem książę zatrzymał samolot i pociągnął za czerwony sznurek: u spodu łódeczki otworzyła się kłapa, z której posypał się grad białych pigułek, pokrywając warstwą mąki zielone ogrody i błyszczące blaszki miki.

— Jeszcze gorzej, niż poprzednim razem! — zawołał porucznik — rzucasz zawiele bomb i w niewłaściwych miejscach. Widzisz te białe ślady pozostawione przez moje bomby na głównych gmachach Londynu? Nigdy nie marnuję nawet odrobiny szacownej substancji. Uważaj, jak ja robię. Wznoszę się właśnie nad opactwem Westminster...

Porucznik nagle urwał. On i starszy książę byli odwróceny do mnie tyłem, ale młodszy, który wciąż skakał i kręcił się na wszystkie strony, w końcu spostrzegł mię i krzyknął niechęcący. Na mój widok oficer zaczerwienił się po uszy i nie puszczał sznurka, uklonił się.

Starsze dzieci też się odwróciły i wbrew przewidywaniom pani M., zapomniały na chwilę o grze, do której tak się zapaliły. Nie puszczał także swoich zeppelinów, okrzykiwały mury Londynu, żeby zbliżyć się do mnie i powitać. Pani M. kazała im „podać rękę tej pani, która przyjechała z daleka, żeby być ich nauczycielką“. Mówiła do nich po angielsku i dzieci ją rozumiały, ale skutkiem jej pochodzenia i niższego poziomu społecznego, angielszczyzna, której je nauczyła, wiele pozostawiała do życzenia.

Ponieważ etykieta nie pozwala, żeby osoby wyższego stanu były przedstawione sobie przez niższe,

oficer sam musiał wymienić mi swoje nazwisko, ale Niemca to nie razi. Po przełamaniu pierwszych lodów, zapoznał mię bliżej z moimi przyszłymi uczniami. Były to śliczne i miłe chłopięta, jeden miał sześć, drugi pięć lat, wyglądali jednak na starszych. Zapomniałam dodać, że mieli jeszcze jednego braciszka; było to wątłe chorowite dziecko, liczące dopiero półtora roku; przyjechało do zamku pod opieką lekarza i mamki.

Starszy książę, brunecik, miał gęste włosy krótko ostrzyżone i wielkie ciemne oczy, dziwnie oddalone od siebie. Krótki, nieco spłaszczony nosek o szerokich ruchomych nozdrzach i wyraz ust zdradzały naturę namiętą. Pomimo promiennego uśmiechu tych ustek dziecięcych, doznawało się wrażenia, że to chłopię poważnie zapatruje się na życie. Miał nieograniczoną władzę nad młodszym braciszkiem, pulchnym blondynkiem o kręcących się włoskach i turkuso wych oczętach, z uwielbieniem wpatrzonych w brata; w tej łagodnej buzi czytało się jednak nieugięty opór.

Obaj książęta zapytali się o moje zdrowie swoją szkocką angielszczyzną. Z kolei *Frau Z.* przyprowadziła mi dziewczynkę, która trochę opierała się temu. Nieładna, ciężka, z głową zbyt dużą, z wysokimi kwadratowymi ramionami, nie miała w twarzy nic pociągającego. Lękałam się, że nigdy nie będę mogła jej pokochać, spodziewałam się jednak, że posłucha mię i zmieni sposób czesania swoich popielatych włosów, bardzo dla niej niekorzystny. Małe jej szare oczy o przenikliwym spojrzeniu, badały mię od stóp do głów.

Przywitawszy się ze mną, dzieci przypomniały so-

bie o przerwanej grze i chciały do niej powrócić, ale porucznik sprzeciwił się temu.

— Już dosyć napracowaliśmy się nad tem miastem — rzekł jakby z uznaniem — te panie czekają, żeby zaprowadzić was na wieczerzę.

— Niech pani nie sądzi — dodał, zwracając się do mnie — że nie chcieliśmy cię przywitać, ponieważ bawiliśmy się niszczeniem angielskiej stolicy. Dla dzieci tak inteligentnych, jak te, gra staje się bardziel zajmująca, jeżeli wyobrażają sobie, że burzą miasto, znane im z lekcji historii i geografji. W istocie, ta gra jest zupełnie niewinna.

Przez grzeczność musiałam zgodzić się z nim. Podeszedłszy bliżej, przekonałam się, że główne gmachy zostały wykonane dość ściśle według rzeczywistych wzorów, a kiedy porucznik zajął się umieszczaniem zeppelinów w wielkim pudle, naśladowującym szope, skorzystałam z tego, żeby lepiej przyjrzeć się tekturowemu miastu. Było bardzo starannie odrobione i musiało kosztować dużo trudu i pieniędzy. Każda dzielnica wznosiła się na oddzielnych podwalinach, naprzykład parki, Trafalgar—square z wodotryskami i kolumną. Pałac Buckingham i otaczające go ogrody znajdowały się na tej samej podstawie, co Łuk Marmurowy i gmachy Admiralicji. Trzy dworce były bardzo widoczne, z łatwością też odnalazłam katedrę św. Pawła z jej wielką kopułą, opactwo Westminster, uratowane od zagłady przez moje przybycie, Bank Angielski, Tower i most prowadzący do niego.

Naturalnie, nie kuszono się o odtworzenie całego miasta, widziałam jednak niezłe kopye naszych domów i magazynów. Zauważyłam też, że drewniane podsta-

wy umieszczone były na wielkim kwadracie tkaniny, na której odbito kolorowy plan Londynu. Tkaninę można było zwijać. Dachy zamku Tower, Banku angielskiego i pałacu Buckingham były zasypane mąką, co świadczyło o wielkiej zręczności jednego z graczy, niewątpliwie pana porucznika. Można było zmiatać ją miotelką i dwaj lokale zaraz wzięli się do tego, i następnie ułożyli Londyn w wielką skrzynię z numerowanymi przedziałami.

Młodszy książę, wyłączony z zabawy dla swojej niezgrabności, zgodził się łatwo na propozycję wieczery, ale starszy jego brat skrzywił się, a księżniczka zaraz poparła go. Dali do zrozumienia, że muszą przedtem objaśnić mi grę i oboje zaczęli razem mówić po niemiecku — jedynym języku, którym władała dziewczynka.

Na szczęście dosyć jeszcze pamiętałam niemieckiego, żeby je zrozumieć, ale objaśnienia były tak zawiłe i niedokładne, że porucznik musiał przyjść z pomocą. Powiedział mi, że gra jest zupełnie nowa, sam przywiózł ją przed tygodniem z Potsdamu i chciał, żeby dzieci przedtem nauczyły się głównych jej zasad.

— Widzi pani—dodał—choć to jest tylko zabawka, została jednak wymyślona przez jednego z największych uczonych naszego kraju i stulecia. Hrabia Zeppelin znany jest z tego, że najmniejszą rzecz wykonywa z drobiazgową ścisłością. Oddawna już pomysł tej gry przyszedł mu do głowy. Pragnął, żeby mali książęta oraz ich ojciec mieli pamiętkę ostatniego jego tryumfu, tej sławnej 1000-kilometrowej podróży, która na szczęście ratowała wspomnienie zeszłorocznej katastrofy zeppelina czwartego w Wirtember-

gji, Jest to szczegół charakterystyczny, że wszystkie przedmioty, z których gra się składa, mają wielkość odpowiednią do swoich modeli, z wyjątkiem samych balonów, ale musiano powiększyć je, inaczej bowiem nie zdołałyby unieść tych łódeczek z aluminium. Nie możemy przecież wyrabiać wodoru dla zabawy dzieci, nasze sterowce są zatem napełnione zwyczajnym gazem, przynoszonym z gazometru w najbliższej wsi. Gmachy są także wyższe, niż powinny być matematycznie, a mechanizm, bardzo pierwotny, nakręca się jak zegarek.

— Zajęcie i znaczenie gry polegają na obliczeniu wysokości, z której bomby mogą działać najskuteczniej — prawił porucznik — na sposobie podnoszenia i opuszczania zeppelinów, oraz na wyrządzania jak największych szkód nieprzyjacielowi. To wszystko zostało ujęte przez hrabiego Zeppelina w metodę naukową, zawierającą także zasady, w jaki sposób unikać samolotów nieprzyjacielskich i manewrować podczas niepogody. Tymczasem jednak poprzestajemy tylko na rozerwaniu bomb: jeżeli kto nie potrafi tego dokonać z pewnej wysokości, albo nic nie zniszczy w oznaczonym czasie, przegrywa partję. Srebrne pieniądze prosto z pod stempla dawane są w nagrodę graczowi, który przy najmniejszym zużyciu materiału najwięcej szkód wyrządzi. Ma się rozumieć, główny cel polega na zburzeniu ważnych punktów obronnych, albo gmachów historycznych, skarbów narodowych; to więcej znaczy, niż zniszczenie choćby większej ilości domów.

— Jakże radzicie sobie z fortami? — zapytałam z ironicznym uśmiechem.

Oficer odrazu ostygł w zapale i przestał rozprawać, powtórzył tylko, że hrabia Zeppelin wymyślił tę grę jedynie dla zabawienia dzieci swego książęcego protektora.

— W każdym razie—podjęłam—chyba nie liczy pan na to, żebym wam dopomagała do burzenia Londynu choćby na żarty.

— Ach! bynajmniej nie żądamy tego!—uroczyście zapewnił porucznik — zresztą mamy obecnie tylko trzy zeppelin. Zapowiem dzieciom, żeby nigdy nie zapraszały pani, kiedy będziemy bombardowali Londyn, za to może pani być obecna przy burzeniu Petersburga.

— Jaktó! macie i Petersburg w swoim repertuarze!—zawołałam.

— A jakże! i Paryż także — chwalił się starszy książę.

Słowa jego potwierdziły moje przypuszczenie, że brutalna gra miała swoją stronę poważną. Porucznik zauważył zdumiony wyraz mojej twarzy i znowu zaczął usprawiedliwiać wynalazek swego mistrza.

— Hrabia Zeppelin myślał, że dzieci znudziłyby się rychło, gdyby pracowały tylko nad zniszczeniem jednego miasta — rzekł — zresztą i lekcje strategii wyczerpałyby się. Dlatego kazał sporządzić także modele Paryża i Petersburga. Ostatecznie niema to znaczenia dla pani, gdyż teraz przypominam sobie, że pani jest więcej Amerykanką, niż Angielką.

Nieraz sumienie mi wyrzuca, że powinnam była wbrew radzie *Frau Z.* objaśnić młodego oficera co do mojego pochodzenia, żeby miał się na baczości. Ale kiedy po odejściu dzieci zaczęłam rozmawiać z nim

swobodniej, nie wypadalo mi juz wracac do tego przedmiotu, Wieczorem, w samotnosci mego pokoju zadawalam sobie pytanie, czy istotnie bede musiala wprowadzac w blad co do mojej prawdziwej ojczyzny wszystkie osoby, ktore tu poznam.

ROZDZIAŁ III.

Mali książęta i ich nauczyciel.

W ciągu trzech tygodni spędzonych w zamku X., pokochałam moich małych uczniów, chociaż widziałam dobrze ich wady. Pod niektórymi względami byli doskonale wychowani: nauczono ich na przykład, żeby byli bardzo mili dla obcych, swobodni w obejściu z nimi, nie okazywali znudzenia, jak większość dzieci w tym wieku. Zaniedbano jednak rozwinąć w nich wiele stron moralnych, a mianowicie łagodnego obchodzenia się ze zwierzętami. Byli nieledwie okrutni dla nich. Starszy miał charta przysłanego z Rzymu przez księcia Bülowa, młodszy jamnika podarowanego przez księstwa Fürstenberg. Otóż te biedne stworzenia nie miały chwili spokoju. Wciąż dręczono je, a nawet bito, ponieważ, zdaniem malców, nie pojmowały dość szybko sztuk, których ich uczono. Wyrzucałam im raz ten brak dobroci i nie zastanawiając się nad znaczeniem moich słów, powiedziałam, że „to nie jest po angielsku“.

Po raz pierwszy zobaczyłam, że oczy starszego księcia zaiskrzyły się gniewem.

— Wcale nie chcę być podobny do Anglika! — zawołał.

— Żadne z nas tego nie pragnie — zapewniła księżniczka, która nie przypadła mi do serca — mój wuj W. (ojciec małych książąt) utrzymuje, że dzieci muszą koniecznie uczyć się angielskiego, gdyż wszyscy go się uczą. Z tego powodu i my go się uczymy, ale nikt nie może nam nakazać, żebyśmy go lubili.

Dziwne słowa w ustach małej dziewczynki!

Rodzice moich uczniów byli tak zajęci obowiązkami urzędowymi i rozrywkami towarzyskimi, że żadne z nich nie przyjechało nas odwiedzić. Przysyłali tylko przyjaciół, którzy donosili im o zdrowiu dzieci i prawdopodobnie o zachowaniu się nowej nauczycielki: panie wysoko urodzone ze swego otoczenia, parę hrabiowską i księstwo niższego stopnia.

Wszyscy ci goście byli dla mnie bardzo grzeczni, ale zadawali mi mnóstwo niedyskretnych pytań, niczem turyści amerykańscy. Każdy dowiadywał się o szczegóły mojej przeszłości i o moje uzdolnienie zawodowe. Wszyscy uważali mię za Amerykankę, a jeżeli starałam się wywieść ich z błędu, zapewniając z całą stanowczością, że jestem Angielką, natychmiast mężczyźni, a szczególnie wojskowi, przestawali mówić albo też zadawali mi dziwne pytania, naprzykład: co myślą Anglicy o stałej armji, którą rząd ich usiłuje stworzyć. Wszyscy zgadzali się na to, że naród angielski popadł w odrętwienie tak głębokie, że już nigdy nie zdoła się rozbudzić.

Nieraz w Anglii słyszałam, jak rozprawiano o tem co nazywano „niebezpieczeństwem niemieckim“, ale okoliczności sprawiły, że jedyna znakomita rodzina an-

gielska znana mi bliżej, miała pod względem politycznym zasady ultra-liberalne i była w blizkich stosunkach z kaiserem. Ja sama byłam przekonana, że hałas wywołany przez niektóre nasze dzienniki z powodu owego „niebezpieczeństwa“, był jedynie manewrem stronnicy. Z przyjemnością czytywałam książki o życiu i obyczajach niemieckich i z nich nabrałam przeświadczenia, że prawdziwy duch rasy niemieckiej jest na wskroś pokojowy. Nigdy nie przypuszczałam, nie marzyłam nawet o tem, żeby w sercu każdego prawie Niemca mogła istnieć taka nienawiść pełna zazdrości lub pogardy względem Anglików.

Już w pierwszych tygodniach mego pobytu nad Renem przekonałam się, że byłam w błędzie. Niektórzy goście pochodzili z Niemiec południowych, inni z Prus, uważanych za jedyną ostoję „nacionalizmu“ anti-angielskiego, a jednakże u jednych i u drugich zauważyłam skłonność do lekceważenia wszystkiego, co angielskie, nie wyłączając naszych sportów.

Wracając do wad małych książąt, jako to: dręczenia zwierząt, brzydkiego sposobu jedzenia, ciągłego rozprawiania o wojnie i bitwach i t. d., pani M., szkocka ich guwernantka zapewniła mię, że daremnie starałabym się odzwyczaić ich od tego.

— To wszystko jest niemieckie — powtarzała mi nieustannie — dzieci naśladowają tylko to na co patrzą. Gdyby pani łajała ich za to, ganiłabyś jednocześnie osoby najwyżej stojące w kraju. Oddawna już to zauważyłam i wiem teraz, do czego nie powinnam się wtrącać, jeżeli nie chcę zabierać się stąd razem z matkami.

Najmilszą osobą w zamku był lekarz, który czuwał nad zdrowiem dzieci.

Miał on już pewną sławę w swoim zawodzie, chociaż był tylko asystentem znakomitego lekarza, będącego przy rodzicach moich uczniów. Stosunkowo młody, najwyżej 40-letni, bardzo ładny, przypominał raczej Włocha lub Francuza, niż Niemca.

Był dla mnie bardzo uprzejmy, ale na sposób niemiecki, to znaczy, że jego grzeczność była sztuczna, jak gdyby powierzchowna. Miewaliśmy z sobą częste sprzeczki, gdyż dowodził mi zawsze wyższości Niemiec nad całym światem. Rodem z Czarnego Lasu, gorący katolik, ile razy szło o kwestje narodowe, okazywał się szorstki, jak Prusak. Zdaniem jego, Niemcy, ze względu na wyższość swojej rasy i „kultury“, powinny były rozszerzyć swoje panowanie na inne kraje nie tylko dla swego dobra, ale i dla dobra ludzkości. Kiedy raz zapytałam go, czy Niemcy mają także zawojować Stany Zjednoczone, oprócz Europy, pocziwy doktor odpowiedział mi z całą powagą, że kiedyś musi nastąpić „coś podobnego“, tylko nieco później, dopiero za kilka pokoleń.

— Urodziliśmy się na zdobywców — mówił — takie jest nasze przeznaczenie, które chcąc nie chcąc musimy spełnić. Nasz genjusz narodowy musi nas prowadzić od tryumfu do tryumfu, podobnie jak było w przeszłości, odkąd Fryderyk Wielki dał początek tego rozpędu. Trzeba nam koniecznie osad zamorskich i to coraz więcej ze względu na przyrost naszej ludności. Ameryka południowa szczególnie będzie nam przydatna. Stany Zjednoczone będą usiłowały nas powstrzymać za pomocą tej przestarzałej maszyny,

zwanej przez nich doktryną Monroe, ale ona nie ma już żadnej mocy. Znaczenie jej to *bluff* jedynie. Dla poparcia jej byłaby potrzebna niezwyciężona armia, a tymczasem nie ostoi się pod uderzeniem oręża niemieckiego.

Porucznik był także głęboko przekonany o wyższości rasy niemieckiej, z tą jedynie różnicą, że dla niego żołnierz niemiecki był prawdziwym „nadczłowiekiem“.

Muszę jednak dodać, że już w końcu pierwszego tygodnia przestał rozmawiać ze mną o polityce, uważając, że zdarza mu się doskonała sposobność okazania swojej sentymentalności. Po trzech dniach pobytu w zamku X., oczy jego dały mi wyraźnie do poznania, że serce jego jest wrażliwe na wdzięki kobiece; co chwila spoglądał na mnie ponad głowami dzieci, ale było w tem trochę mojej winy, pochodzącej z nieświadomości; nie wiedziałam wówczas, w jaki sposób oficerowie niemieccy zachowują się zwykle względem kobiet.

W zamku X. oboje byliśmy w nadzwyczajnych okolicznościach; wyjeżdżano z Potsdamu z takim pośpiechem, że nie pomyślano o „przyzwoitce“ dla nowej nauczycielki angielskiej. Były z nami tylko dwie guwernantki, o których wspomniałam, lekarz, który bynajmniej nie zajmował się mną i niższa służba. Zapewne wyobrażano sobie, że nauczycielka i gubernator ksiąząt nigdy nie będą mieli sposobności spotykania się. Tymczasem stało się inaczej i przekonałam się, że każdy oficer niemiecki nie żonaty — a nawet nie jeden posiadający prawą małżonkę — uważałby, że uchybia swoim obowiązkom męczyzny, gdyby nie usi-

łował uwieść każdej młodej, niezamężnej kobiety, którą los postawi na jego drodze.

Porucznik był wprawdzie o rok lub dwa młodszy odemnie, lecz to jest dowiedzione, że Angielki dłużej zachowują młodość, niż Niemki i Austrjaczki, które opychają się ciastkami i śmietanką, uważając sobie za ciężką karę każde fizyczne ćwiczenie. Porucznik nie odznaczał się pięknnością, ale twarz jego miała wiele młodzieńczego wdzięku, a duże błękitne oczy wydawały się jeszcze bardziej marzące za szkłem binokli. Zdejmował je ile razy mógł, a wtedy krótki jego wzrok nadawał mu pozór jakby dziecinnego niedołęstwa. Jasny wąsik, zakręcony do góry à la kaiser, ocieniał pełne czerwone usta. Był tak smukły, że wydawał się wysoki; bojąc się utyc, z bohaterskiem zaparciem się odmawiał sobie większej ilości piwa, zupy, i ciasta i wszystkich rzeczy, które najlepiej lubił.

Kilka dni spędzonych w jego towarzystwie przekonało mię, że jest bardzo zadowolony z siebie; Anglik lub Amerykanin byłby starannie ukrywał swoją próżność, tymczasem u porucznika objawiała się ona w sposób naiwny. Widząc, że pragnie flirtować ze mną, z początku nie broniałam mu tego, uważając to za niejaką rozrywkę w swoim jednostajnym życiu. Byłam przekonana, że jako szlachcic i oficer wyborowego pułku, zaszczycony zaufaniem najwyższych osób, nie uchybi mi, dopóki ja sama będę się trzymała zdaleka. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, jaka jest różnica poziomu moralnego i zwyczajów towarzyskich między oficerami, których znałam dotychczas, a... nieledwie ogółem oficerów niemieckich.

Porucznik X. grał na fortepianie, wykonywał mnóstwo utworów na pamięć i posiadał bardzo ładny głos tenorowy. Do mego przyjazdu śpiewał tylko pieśni patriotyczne — uczniowie musieli chórem powtarzać każdą zwrotkę, teraz jednakże zaczął na moją cześć śpiewać różne czułe romanse i pieśni miłosne z operetek wiedeńskich. Oprócz namiętnego *tremolo*, towarzyszyły im uporczywe spojrzenia, ilekroć nie śledziły go przenikliwe oczy małej księżniczki.

W ogrodzie, w którym znajdował się zakątek, zasadzony wszystkimi roślinami i kwiatami wymienionymi przez Szekspira, spotykaliśmy się dość często, szczególnie odkąd dzieci, znudzwszy się wynalazkiem hr. Zeppelina, powróciły do dawnych gier i zabaw. Oddano im na ten cel wielki trawnik, na którym książeżeta zaraz zbudowali fort z ziemi i piasku. Podczas kiedy bawili się w oblężenie i zdobywanie twierdzy, guwerner i nauczycielka mogli swobodnie błądzić po alejach, albo siedzieć na ławce, górującej nad trawnikiem.

Przez pierwsze kilka dni wszystko szło dobrze, tylko ja śmiałam się w duchu z naiwnego samolubstwa mojego towarzysza, który wciąż opowiadał mi o sobie, o swoich marzeniach i widokach na przyszłość. Ale przy końcu drugiego tygodnia porucznik uznał, że nadeszła pora wyjawić mi swoje „zamiary“. Po wieczerzy, którą spożywał w małej jadalni wraz z lekarzem — mnie przynoszono wieczerzę, do mego pokoju — prosił mię, żebym poszła z nim do kręgielni naprawić kilka „gmachów“, uszkodzonych przez księżniczkę, która niechcący nadeptała na nie.

Nigdy jeszcze nie wychodziłam z porucznikiem po wieczerzy i nie przyszło mi nawet do głowy, że prośba jego stanowi tylko pozór do rozmówienia się ze mną na osobności. Zaledwie wyszliśmy z zamku, zaczął mówić o tem, co mu leżało na sercu, zapewnił mię, że różnię się od innych kobiet, gdyż mam upodobania intelektualne i umiem rozmawiać zajmująco. Chętnie też, gdyby to zależało od niego, ożeniłby się ze mną. Teraz, poznawszy mię, nie może nawet myśleć o małżeństwie z inną osobą, gdyby jednak konieczność zmusiła go do tego, mógłby tylko ożenić się z kobietą bardzo bogatą, znąconą jego nazwiskiem arystokratycznym i stanowiskiem w armji. A tymczasem, dlaczego nie mielibyśmy być szczęśliwi oboje?

Zaczął mi tłómaczyć, w jaki sposób możnaby osiągnąć to „szczęście“. Nikt nie miałby najmniejszego podejrzenia. Długo zastanawiał się nad tem i potrafił zapiekować się mną w każdej okoliczności. Mogę najzupełniej liczyć na jego honor.

Skoro tylko zrozumiałam, o co chodzi, przerwałam mu natychmiast. W pierwszej chwili chciałam mu zagrozić, że poskarżę się przed rodzicami moich uczniów, zaniechałam jednak tego z obawy nieporozumienia i panując nad mojem oburzeniem, powiedziałam tylko, że go nie kocham, że nie wiedziałam na co się narażam przez okazywaną mu życzliwość i oświadczyłam, że powinniśmy oboje zapomnieć o tej rozmowie.

Nazajutrz byliśmy dla siebie bardzo grzeczni; unikając jednak wszelkiego spotkania na osobności. Do stałam cenną nauzkę, w jaki sposób młoda panna po-

winna zachowywać się względem oficera niemieckiego i skorzystałam z niej na przyszłość.

Dwa tygodnie upłynęło bez żadnej wskazówki z Potsdamu co do zmiany naszego pobytu, kiedy pewnego poranku spotkała nas wielka niespodzianka w postaci odwiedzin cesarza Wilhelma.

ROZDZIAŁ IV.

Odwiedziny cesarza.

Miałam właśnie lekcję angielskiego z małymi księżętami i ich kuzynką w altanie. Tak kazała księżna, która „przejąwszy się zasadami angielskimi“, — jak mówiono — chciała, żeby dzieci przebywały jak najwięcej na świeżem powietrzu.

Czytałam głośno książkę, napisaną przez Amerykanina, Jerzego Henty dla młodych Anglo-Saksonów, w miejscach najbardziej zajmujących przerywałam czytanie, ażeby moi uczniowie mogli powiedzieć mi po angielsku, co o tem sądzą. Po ożywionej rozprawie dzieci zaczęły domagać się dalszego ciągu powiastki, zaczęłam więc znowu czytać, kiedy wtem na ścieżce idącej z zamku rozległy się kroki. Przekonana, że to porucznik, który miał mię zastąpić, nie odwróciłam się wcale, moi słuchacze zaś byli tak zajęci i wzruszeni, że nie zwracali uwagi na hałasy zewnętrzne. Usłyszałam, że ktoś zatrzymał się na progu altany tuż za mną i tym razem musiałam się odwrócić. Przypuszczam, że na mojej twarzy odbiło się niezadowolenie z tego wtargnięcia podczas lekcji...

Na ścieżce stało dwóch oficerów w mundurach, jeden o kilka kroków za drugim; kto widział choć

jedną fotografię kaisera, musiał go poznać. Coprawda, żadna z jego fotografii nie jest podobna, gdyż sztuka fotograficzna dąży w tych wypadkach do idealizowania modelu. Odrazu zauważyłam, że twarz cesarza jest starsza, postać bardziej krępa, nos grubszy, niż na jego wizerunkach, na żadnym też nie widziałam długiej blizny, która przechodzi przez lewy policzek i szpeci jego kształt.

Nagle zjawienie się kaisera tak mię zdziwiło, że straciłam zwykłą zimną krew i zerwałam się tak gwałtownie, że upuściłam książkę i przewróciłam lekkie trzcinowe krzesło rzekomo angielskiego wyrobu. Zmieształam się bardzo; dałam taki zły przykład moim uczniom. Moje zakłopotanie zwiększyło się jeszcze, kiedy dostojny gość wybuchnął śmiechem, którym do reszty pogiębił biedną istotę, będącą powodem tego napadu wesołości..

— Moje przybycie wywróciło odrazu królestwo W. Brytanji i Stany Zjednoczone Ameryki! — zawołał wyborną angielszczyzną, ale głosem chrapliwym, prawą ręką wskazując kolejno na krzesło niby angielskie i książkę, na której nazwisko autora wydrukowane było na okładce wielkimi złotymi literami.

Podkreślił te słowa bystrem spojrzeniem, zwróconem na mnie, przenikającym mię nawskroś. Wyglądało to na wyzwanie. Słyszałam, że w takich razach kto umiał zręcznie się odciąć, odrazu zdobywał sobie łaski u cesarza, lecz na nieszczęście, jedyna odpowiedź, która w tej chwili przyszła mi na myśl, była zbyt impertynencką, żebym ośmieliła się wygłosić ją.

Wybawiły mię z kłopotu dzieci. Chłopcy odsuwający mię, poskoczyli rzucić się w objęcia dostojnego

gościa; za nimi mniej śmiało podążyła księżniczka. Może już odkryła, że Jego Cesarska Mość nie dba o dziewczynki, chyba że są nadzwyczaj ładne.

Powitanie kaisera z dziećmi było serdeczne, lecz krótkie; nie uściskał ich nawet, choć spodziewały się tego. Prawdopodobnie, nie był jeszcze zupełnie pewny, czy są zdrowe, wyjechały bowiem z pałacu, gdzie panowała zaraźliwa choroba, wiadomo zaś, że cesarz ma nieprzewyciężony wstręt do wszelkich chorób zaraźliwych. Położywszy prawą rękę na ciemnowłosej główce starszego księcia — lewą jak najmniej się posługuje — wykręcił go żartobliwie.

— Czy nie widzisz, że książka i krzesło panny A. leżą na ziemi? — zapytał — jaki jest obowiązek — chciałem powiedzieć przyjemność *gentlemana*, jeżeli dama coś upuści.

— Podnieść to — odpowiedziało chłopię, zarumienione po uszy i schyliło się po książkę i krzesło.

— Dobrze, tylko zapóźno — rzekł kaiser.

Przypuszczając, że już przyszedł do siebie, zwrócił się do mnie z uśmiechem, na pół życzliwym, na pół szyderym:

— Może jestem hardzo zacofany według nowych pojęć angielskich, mam jednak nadzieję, że pani, miss A., chociaż Angielka, nie jesteś sufrażystką?

Bardzo mi to pochlebiło, że pamiętał moje nazwisko. Co się tyczy sufrażystek, wiedziałam już, że sama wzmianka o nich sprawiała na nim takie wrażenie, jak czerwona chusta na byku, chociaż każdą spotkaną Angielkę zaczepiał o ten przedmiot. Ośmieliłam się odpowiedzieć, że niekoniecznie trzeba być sufrażystką, będąc Angielką.

Śmiejąc się na całe gardło, żartobliwie pogroził mi palcem.

— Ha! ha! ha! zaraz widać z tego, że pani nie jest prawdziwą Angielką! — zawołał — wszystkie nowoczesne Angielki są sufrażystkami. Niech-no tylko przyślą do nas deputację, a dowiedzą się, co o nich myślemy! Coprawda, dopóki ograniczają one swoją działalność na własnym kraju, niech będą błogosławione za przysługę, którą nam wyrządzają — dodał z nagłą powagą.

Nie miałam pojęcia, co znaczyły te ostatnie słowa, przekonałam się, tylko, że podobnie jak większość Niemców, a szczególnie Prusaków, miał to przeświadczenie, że zna lepiej Angliję, niż my sami. Nieraz próbowałam wyprowadzić ich z błędu, ale był to trud daremny, tembardziej nie mogłam sprzeczać się z cesarzem.

Był coraz miłszy dla mnie i powiedział mi, że pamięta doskonale mojego dziadka, którego spotkał, będąc jeszcze następcą tronu.

— Prawdziwy typ marynarza amerykańskiego! — zawołał — był równie dobrym gawędziarzem, jak dowódcą wojennego okrętu.

Potem cesarz raczył przedstawić mi swego towarzysza, hrabiego von H. Powiedział mi, że całą noc jechał ze swoją żoną, żeby zrobić przegląd sąsiedniego garnizonu i zjeść śniadanie z oficerami. Mając wolną godzinę, postanowił wpaść do zamku, żeby zobaczyć dzieci i donieść rodzicom o ich zdrowiu.

— Nie było u nich żadnego objawu choroby? — zapytał — a najmłodszy także jest zdrow, prawda?

Odpowiedziałam, że stan jego zdrowia pozostawia do życzenia, co zaniepokoiło cesarza, ale kiedy dodałam, że gorączka jest skutkiem ząbkowania, oblicze gościa rozpogodziło się.

— O! to nie jest zaraźliwe — rzekł — niejeden z nas byłby szczęśliwy, gdyby mógł zyskać ząb mądrości kosztem małej gorączki.

Ile razy powiedział jaki dowcip, śmiał się bardzo głośno, otwierając usta szeroko i przechylał głowę wtył; oczy jego badawczo patrzyły na mnie, czy dostatecznie oceniłam jego żart. Im więcej ktoś się śmiał, tembardziej podniecało go to i sprawiało większą przyjemność. Lecz skoro przedmiot, który go zajmował, został wyczerpany i coś innego przyszło mu do głowy, nieraz widziałam, że twarz jego zmieniała się, chmurzyła, oczy zaś nabierały dziwnego, jakby błędnego wyrazu. Wydawał się wtedy wiele starszy, zupełnie inny, ale niech tylko jaka myśl wesoła przebiegła mu przez głowę, znowu ożywał się, młodniał i stawał się podobny do swoich ulubionych fotografii z tą jedynie różnicą, że był na nich szczuplejszy, niż w rzeczywistości.

Kaiser bawił w zamku najwyżej 20 minut, ale przez ten czas zdążył poruszyć mnóstwo przedmiotów tak ze mną, jak z porucznikiem X., po którego posłał młodego księcia.

— I cóż? — rzekł, zwracając się nagle do mnie — zapewne pani zaczęła już zbierać notatki do swojej książki?

Wydałam mu się niewątpliwie bardzo naiwna, gdyż zapytałam ze zdziwieniem, o jakiej książce Jego Cesarska Mość mówi.

— O książce, którą pani napisze o *nas* rzekł — swoim chrapliwym głosem — każdy Anglik to robi.

Zacęłam się bronić, zdawało mi się bowiem, że byłoby to nieuczciwie z mojej strony. Nie przeszło mi nawet przez głowę, że mogą zajść okoliczności, które zmieniają moje zdanie w tym względzie.

Cesarz nie dał się przekonać; uśmiech jego świadczył, że upiera przy swoim mniemaniu. To samo zauważyłam u wszystkich Niemców podczas sporu z cudzoziemcami, z tą jedynie różnicą, że bronią swego zdania z większą lub mniejszą grzecznością.

Na wszelki wypadek o jedno tylko proszę — mówił cesarz — oto, żeby pani, pisząc swoją książkę, ściśle trzymała się prawdy, w takim razie nie mamy czego się obawiać. My Niemcy jesteśmy najszczerzym narodem pod słońcem; tembardziej dziwi mię to, że żaden cudzoziemiec nie potrafi nas zrozumieć. Stąd pochodzą te niesprawiedliwe sądy o nas w obcych książkach i dziennikach, pomimo dobrej woli autorów, ma się rozumieć nie wszystkich, w ogóle bowiem zazdroszczą nam pomyślności. Ta zazdrość objawia się nawet u Anglików i Amerykanów. Zbyt wiele wydano o mnie niekorzystnych sądów; już mię to zaczyna męczyć.

Wyraz gniewu odbił się na jego twarzy, jasne niebieskie oczy rozszerzyły się i stały się niemal błędne, wąsy srogo zakręcone do góry, poruszyły się groźnie, ale ta burza rozproszyła się równie prędko, jak przyszła.

— Bynajmniej nie posądzam o to wnuczki pani dziadka — rzekł — w każdym razie niech pani da mi do przeczytania swoje notatki przed napisaniem książki,

a będę mógł udzielić ci pożytecznych rad i sprostować błędne zdania.

Mówią, że cesarz stara się sprawić korzystne wrażenie na każdej, choćby najmniej znaczącej osobie, którą po raz pierwszy spotyka. Otóż po tych nieco szorstkich napaściach, usiłował załagodzić je i zjednać mię sobie, wpytując się o szczegóły mego życia i o rodzinę angielską, w której przedtem przebywałam, rodzinę znaną mu dobrze. Przechyliwszy głowę w tył, zaczął wyliczać mi korzyści, które zdaniem jego przedstawiała nauczycielka Angielka w porównaniu z nauczycielką Niemką i oświadczył nagle, że gdyby rodzice moich uczniów byli go słuchali, już dwa lata temu byliby wzięli Angielkę do dzieci.

— Nie znam kobiety tak upartej, jak księżna — dodał — może nie powinienem tego mówić i pani pewno pomyśli, że jestem niedyskretny? Wszystkie dzienniki czynią mi ten zarzut, a tymczasem to jest tylko szczerłość z mojej strony. Mówię zawsze to co myślę — oto moja zasada. Zresztą upór księżny nie jest bynajmniej tajemnicą; wkrótce pani sama przekona się o tem, jeżeli jesteś tak inteligentna, jak się wydajesz. Widzi pani, księżna nie została stworzona ani na małżonkę, ani na matkę, pomimo, że pod innymi względami jest uroczą kobietą. Postępuje zawsze podług swojej woli wbrew wszystkim!... Ale dosyć już o tem, a może nawet zawiele!...

Gdzież jest von X?

Porucznik stał na uboczu i odtąd cesarz zwracał się tylko do niego. Do mnie już nie wyrzekł słowa, tylko na pożegnanie powiedział po niemiecku: *Auf wiedersehen!* Jednocześnie raczył podać mi rękę sze-

roko otwartą, skutkiem czego mogłam zauważyć różnicę między nią, a lewą, małą i niekształtną, bardzo z ręcznie ukrywaną. Na palcach prawej ręki, starannie utrzymanej, błyszczało mnóstwo pierścionków; u Anglika byłoby to raziło, jako dowód złego smaku. Kształt jej był pospolity, ciało zaś wydało mi się niezdrowe. Kiedy pomyślałam to sobie, cesarz, jak gdyby chciał ukarać mnie za złą myśl, ścisnął moją dłoń bardzo mocno; sądziłam, że pogruchocze mi kości i mimowolnie skrzywiłam się. Jeżeli chciał tym sposobem dowieść mi swojej siły, byłabym chętnie uwierzyła mu na słowo.

Cesarz udał, że nie widzi mego skrzywienia i potem energicznym *shake — hand* skłoniwszy się po wojskowemu, szybko oddalił się w stronę zamku wraz z porucznikiem von X. Dzieci tymczasem skakały koło niego, a na końcu trzymał się oficer, który mu towarzyszył.

Odwiedziny cesarza były taką samą niespodzianką dla *Frau Z.* i dla guwernantki Szkotki, jak dla mnie. Obie były bardzo ciekawe szczegółów jego bytności i nadbiegły natychmiast pod pierwszym lepszym pozorem, wspominając tylko mimochodem o Jego Cesarzkiej Mości.

Frau Z. uwielbiała cesarza, zato moja rodaczka mniejszy okazywała dla niego zapal. Poznawszy odrazu, że jestem osobą godną zaufania, zwierzyła mi się ze swoich drobnych uraz i bez ogródki wyrażała się o niektórych potężnych osobach.

— Jak się pani zdaje, po co on tu dziś przyjechał? — zapytała.

— Chciał zobaczyć dzieci — odrzekłam.

— Nie zgadła pani. Jeszcze raz!

— Jakiż inny miałby powód? Przecież nie przyjechał dla porucznika X.?

— Cesarzowi nie chodziło ani o dzieci, ani o porucznika. Przyjechał, żeby zobaczyć panią!

Myślałam, że żartuje, tymczasem mówiła zupełnie poważnie. Zdaniem jej, ciekawość jego równała się tylko próżności; niczego tak nie lubił, jak widywać nowe twarze i wtrącać się w cudze choćby najdrobniejsze sprawy, byle tylko miały urok nowości.

— Bezwątpienia, te dzieci go obchodzą — mówiła — najwięcej jednak idzie mu o to, żeby wszystko się działo podług jego woli.

Otóż księżna chciała, żeby jej synowie najprzód nauczyli się dobrze po francusku, zanim zaczną uczyć się po angielsku, tymczasem cesarz za każdym widzeniem się nalegał na nią, żeby wzięła nauczycielkę Angielkę. Wiem to od niej samej. W końcu księżna i książę, który nie cierpi Anglii, choć udaje, że ją lubi, musieli ustąpić. Z tego powodu cesarz był ciekaw poznać panią; uosabiasz dla niego zwycięstwo, odniesione nad synową.

Słowa pani M. były potwierdzeniem tego co mówił cesarz, ale jakież w takim razie będzie moje położenie w tej rodzinie?

— Bardzo mi przykro, że księżna jest źle uprzedzona względem naszego kraju — odezwałam się — to przynajmniej dobrze, że cesarz szanuje nas, jako naród.

— Bynajmniej! — zaprzeczyła pani M. — może być, że kocha kilku swoich szlachetnie urodzonych przyjaciół angielskich, o ile jest zdolny kochać kogokolwiek oprócz siebie, ale co się tyczy narodu angielskiego, pogardza nim, podobnie jak całe jego otoczenie i wyobraża sobie, że Anglicy są w stanie zupełnego upadku. Mimo to jestem przekonana, że obawia się ich. Powie pani, że sama sobie przeczę, ale to nie ja, tylko cesarz, który jest zbiorem sprzeczności, podobnie jak następca tronu. Obaj byliby uszczęśliwieni, gdyby wybuchnęła wojna z Anglią. Co się tyczy księżny, nie powiedziałam, że nienawidzi Anglików, przeciwnie, niektórzy bardzo jej się podobają, i Amerykanie także. Woli jednakże Francuzów, gdyż przy swojej żywości sama przypomina Francuzkę. Niech pani pamięta moje słowa: cesarz i jego synowie cenią w Anglikach to właśnie, co tamci posiadają... Pani jeszcze nie rozumie tego, co mówię, ale za rok powiesz mi, czy miałam słuszność, czy nie!

Nic nie odpowiedziałam, ale pomyślałam sobie, że biedna pani M. skwaszona przez jakieś nieznanne mi zdarzenia, obmawiała wysoko położone osoby przez zemstę, za ich uchybienia względem niej. Może z natury była usposobiona widzieć wszystko ze złej strony... Niestety zanim zdążyłam zmienić zdanie w tej kwestji, zanim upłynęła połowa naznaczonego mi przez nią terminu, biedna kobieta już nie mogła mi usłyszeć: umarła na zapalenie płuc podczas pierwszej zimy, którą spędziłam w Niemczech.

ROZDZIAŁ V.

Rodzina Krupp. — General v. Bernhardt.

W willi położonej w głębi Czarnego Lasu miałam sposobność poznać osoby, które niebawem stały się tak głośne w świecie. Główną rezydencją moich księstwa był Potsdam niedaleko Berlina, ale skutkiem bagnistego położenia, komarysą tam takie dokuczliwe w lecie, że kto tylko może, opuszcza miasto.

Przy końcu trzeciego tygodnia pobytu w zamku nad Renem nagle otrzymaliśmy wiadomość, że mamy wyjechać do Czarnego Lasu. Przekonałam się później, że w tym domu wszystkie postanowienia zapadały nagle. Nikt nie może przewidzieć, co jutro się stanie; trzeba być zawsze przygotowanym na wszystko. Ten rodzaj życia szarpie nerwami osób wrażliwych, ale para książęca nie troszczy się o niczyje nerwy, dowodząc tem swego pruskiego pochodzenia.

Wyjeżdżając z zamku, przekonałam się też, że moja odpowiedzialność jest znacznie większa, niż się spodziewałam. Zgodzona na nauczycielkę do małych księżąt i ich kuzynki, nie wiedziałam, że w wielkich rodzinach niemieckich obowiązki nauczycielki są inne, niż w Anglii. Coprawda nauka ograniczała się tylko na lekcjach angielskiego; w miarę jak moi uczniowie

będą podrastali, coraz więcej nauczycieli będzie zajmowało się ich wychowaniem. Zato podczas naszej podróży do Czarnego Lasu zrozumiałam, że nietylko będę musiała sama pilnować dzieci, lecz wszystko co się nie uda, będzie na mój karb złożone. W tych wypadkach nie omieszkało wyrzucać mi z łagodnością nieco gorzką mego angielskiego pochodzenia. Wmawiano we mnie, że „Anglicy lubią brać na siebie odpowiedzialność“, gdyż wyobrażają sobie, że potrafią wszystko robić lepiej, niż inni, powinnam więc być zachwycona, że obarczają mnie mnóstwem rzeczy, z którymi właściwy mój zawód nie miał nic wspólnego.

Kiedy przyjechaliśmy do willi w Czarnym Lesie, księstwa jeszcze tam nie było, a ponieważ przybycie ich miało być obchodzone obiadem i przyjęciem, dostaliśmy pomieszczenie jakie takie, raczej złe niż dobre. Dla mnie przypadł jeden mały pokój, który miał służyć jednocześnie jako sypialnia i salonik.

Księstwo mieli przyjechać nazajutrz, daremnie jednak oczekiwaliśmy ich przez cały dzień, dopiero drugiego dnia, powróciwszy z dziećmi z przechadzki, dowiedziałam się, że przybyli wraz z gośćmi; przywiózł ich szereg samochodów. W całej willi, a szczególnie w oddziale służbowym zapanował taki zamęt i hałas, że nic podobnego nie możnaby zobaczyć w najnieporządniejszym domu wiejskim w Anglii.

Księżna zaraz wezwała mnie do swego buduaru; pomimo ozdób w złym smaku, był to bardzo miły pokój. Zaprowadziła mnie tam jedna z dam przybocznych księżny, śliczna 35-letnia kobieta, hrabina F. Wkrótce poznałyśmy się bliżej, dzięki czemu przekonałam się, że ta Prusaczka jest nadzwyczaj miłą i zajmującą istotą,

zawsze gotową poświęcić wszystko i wszystkich dla dowcipnego słówka, w czem celowała.

Angielka w wieku księżny byłaby jeszcze uchodziła za osobę bardzo młodą, ale chociaż matka moich uczniów wydała mi się nadzwyczaj miła, miała przepyszne oczy i śliczny uśmiech, zauważyłam jednak, że rysy jej zaczęły się zaostczać. Była bardzo chuda, a jednak już groził jej podwójny podbródek. Przemówiła do mnie poprawną angielszczyzną i okazała się nadzwyczaj uprzejmą, ruchliwą i żywą jej umysłu istotnie więcej przypominają Francuzkę, niż Niemkę. Nie słuchając nawet moich odpowiedzi, zaczęła szybko wypytywać się o moje upodobania i o stosunek mój do dzieci.

Śród naszej rozmowy nagle drzwi się otworzyły i na progu stanął szczupły młodzieniec. Na mój widok chciał uciekać, ale księżna zawołała go, żeby zawarł znajomość z nową nauczycielką dzieci. Był to naturalnie książę, a chociaż o kilka lat starszy od żony, wydał mi się młodszy od niej, może dlatego, że u niej dolna część twarzy jest za szeroka i za ciężka, kiedy tymczasem u księcia jest wązka i długa. Prócz tego kibić niesłychanie cienka, ściśnięta gorsetem, albo pasem z fiszbinami, nadaje mu pozór młodzieniaszka. Z uśmiechem postąpił ku mnie, a spojrzenie jego było zarazem śmiałe i roztargnione.

— Słyszałem, że dziadek pani był niepospolitym człowiekiem — szepnął machinalnie.

Na te słowa księżna wybuchnęła śmiechem, wołając, „że to szczególna rekomendacja dla młodej pan-ny“. Książę, zbity z tropu, zląkł się, czy nie powiedział głupstwa i nie był pewny, czy powinien przeprosić

mię, czy nie, ostatecznie jednak zaczął się także śmiać, czem i mnie rozśmieszył. Odpowiedziałam, że pochwałę mego dziadka uważam za wielki zaszczyt dla siebie.

Książę zaczął mówić o swoich synach, otl żeby coś powiedzieć. Wyrażał się po angielsku bez zarzutu; możnaby wziąć go za studenta z Oxfordu lub Cambridge, który przyjechał do Niemiec kończyć nauki. Spół sposób mówienia był równie żywy, jak u księżny, ale urywany i gwałtowny; uśmiech miał w sobie coś niemilego, jakiś nieokreślony wyraz, który łagodniał wówczas jedynie, kiedy rozmowa toczyła się o jednym z rzadkich przedmiotów interesujących go, naprzykład o sportach, albo też kiedy podzielano jego przekonania polityczne.

Na pierwszy rzut oka pociągał pozorem młodzieńczej prostoty, mimoto, uderzyło mię dziwne podobieństwo jego oczu wązkich i błyszczących, do oczu dzikiego zwierzęcia; miały one niepokojący wyraz fałszu, spowodowany może lekkim skrzywieniem źrenic. Wogóle, to pierwsze spotkanie nie wzbudziło we mnie życzliwości dla ojca moich uczniów, odniosłam też wrażenie, że on również nie będzie jej miał dla mnie, przypuszczając, że takie uczucie byłoby możliwe między „Cesarską Wysokością“ a skromną jak ja osobą...

Tak samo w willi w Czarnym Lesie, jak później w Potsdamie jesienią i zimą księstwo przyjmowali mnóstwo ciekawych osób; miałam zaszczyt poznać większą ich część, wszyscy bowiem chcieli zobaczyć dzieci.

Musiałam wyręczać księżnę w pisaniu listów angielskich, co bynajmniej nie należało do moich obo-

wiązków, ale Jej Wysokość bynajmniej nie troszczyła się o to. Często też, kiedy utytułowane damy honorowe były zajęte czem innym, lub nie czuły się usposobione, mnie polecano organizację, albo nadzór nad różnemi zakładami dobroczynności, którymi księżna się opiekowała. Może istotnie dbała o nie na swój sposób powierzchowny i błyskotliwy, w każdym razie jednak chętnie zwałała na cudze barki to co ją nudziło lub kępowało, ale to nie przeszkadzało jej przypisywać sobie z całą szczerością i humorem zasługi wszystkiego dobrego, które inni za nią zrobili. Wyglądała zaiste uroczo w przeslicznych strojach paryskich i wiedeńskich, (nigdy nie byłaby się zgodziła ubierać się w Berlinie) i rozdawała wokoło czarujące uśmiechy.

Dzięki temu miałam sposobność spotkać wielu gości, których jako nauczycielka nigdy nie byłabym poznała. Pochwały oddawane memu dziadkowi przez Amerykanów, bywających u księstwa w Berlinie i Potsdamie utwierdzały ludzi w przekonaniu, że jestem Amerykanką. Ile razy mogłam, starałam się sprostować to błędne mniemanie, ale im lepiej poznawałam charakter Niemców, tem jaśniej widziałam, że skoro raz jakie pojęcie zagnieździ się w ich głowie, śmierć jedynie zdoła je ztamtąd wygnać. Uważaliby sobie za ubliżenie, gdyby dali przekonać się cudzoziemcowi, że są w błędzie.

Najważniejszym dla mnie zdarzeniem w ciągu pierwszego roku mego pobytu w Niemczech była bytność w willi Hügel w dolinie rzeki Ruhr, w pobliżu miasta Essen. Pojechałam tam razem z księstwem i dziećmi. Jest to rezydencja państwa Krupp von Bohlen. Berta Krupp, „królowa armat“ i najbogatsza

dziedziczka w całym cesarstwie, zaślubiła na kilka lat przed naszymi odwiedzinami dyplomatę z południowych Niemiec, Gustawa von Bohlen und Halbach. Kiedy spotkałam ją po raz pierwszy, miała najwyżej 24 lata, częste jednak macierzyństwa sprawiły, że wyglądała na więcej, kiedy tymczasem mąż jej, o 17 lat od niej starszy, wydawał się nieledwie młodszy od niej. Na zajutrz po ślubie, ten szlachcic zgodził się umieścić przed swoim nazwiskiem nazwisko żony: Krupp, opuszczając jednocześnie Holbach, wymieniane tylko w dokumentach urzędowych.

Chociaż pani Krupp von Bohlen miała wyraz macierzyński i zrezygnowany kobiet „niemających już wieku“, zwykły u Niemek mężatek, które jako panny są wesole i zalotne, niemniej wydała mi się najmiłą kobietą, jaką spotkałam w Niemczech. Rysy jej są łagodne, twarz pełna wdzięku, płeć nieporównanej świeżości, przepyszne piwne oczy mają wiele życia. Różniąc się od większości pań niemieckich, szczególnie odkąd berło mody spoczywa w rękach wytwornej pół-Rosjanki — następczyni tronu, — pani Krupp von Bohlen posiada tajemnicę czesania się do twarzy i ubiera się bardzo pięknie, lecz skromnie. Toalety jej nie są tak dziwaczne i krzyżące, jak u większości kobiet niemieckich, obejście zaś tchnie najwyższą dobrocią. Nie znam wielkiej damy, któraby miała więcej od niej uprzejmości, a mniej wymagań; nigdy nie przebywałam w miłszym domu, jak w willi Hügel, gdzie gospodarstwo szło jak z płatka, nie tak, jak u naszych księstwa.

Mąż tej miliarderki uważany jest ogólnie za nader pięknego mężczyznę i rzeczywiście w pewnej mierze usprawiedliwia ten rozgłos. Zdaleka mógłby ująć za Ame-

rykanina, nawet jego akcent angielski trochę przypomina Yankesa. Może jednak, wiedząc, że urodziłam się w Ameryce, gdzie przebył kilka lat, jako sekretarz ambasady niemieckiej, umyślnie silił się na ten akcent. Rzadko można widzieć oczy równie inteligentne, jak u pana Krupp von Bohlen, którego głowa zresztą ma kształt „kopuły“, tak ceniony w Niemczech, jako oznaka wyższości umysłowej ich rasy i zwany nieraz „głową profesora“. Muszę dodać, że mąż Berty Krupp łączy nadzwyczajną uprzejmość z wytwornością dyplomaty; który pragnie przypodobać się wszystkim. A jednak, podczas mego pobytu w willi Hügel byłam świadkiem kilku scen, które zachwiały moim szacunkiem dla głów kopulastych w ogóle...

Przyjechaliśmy do Essen w licznym towarzystwie, gdyż księstwo oprócz zwykłego orszaku, uważali za stosowne zabrać z sobą swoich przyjaciół, ale obszerna willa we włoskim stylu, większa od niejednego pałacu, mogła wygodnie pomieścić tłum gości. Między zaproszonymi był generał von Bernhardi, który także posiadał głowę w kształcie „kopuły“, słowem, że przy stole widywałam codziennie z pół tuzina tych kopuł. Słysząc wygłaszane przez nie zdania, mimowoli pomyślałam, że pod potężnymi ich sklepieniami mieszczą się jednak brzydkie wady, a szczególnie nadmierna pycha narodowa, która — o ile mi się zdaje — przyczyniła się głównie do wytworzenia obecnego położenia politycznego w Niemczech. W porównaniu z innymi, niemniej inteligentnymi głowami, które widywałam w moim kraju, te kopuły sprawiały na mnie wrażenie meczetów tureckich wobec katedr chrześcijańskich...

Raz popołudniu, w pawilonie zbudowanym w par-

ku przez starego Kruppa dla obydwóch córek, moi uczniowie bawili się pod moim nadzorem z najstarszym synkiem naszych gospodarstwa, Alfredem — nazwano go tak na cześć znakomitego dziadka macierzystego.

Tego dnia był zaproszony na śniadanie do willi jeden z dyrektorów fabryk esseńskich, p. Eccius i dr. Linden, dyrektor akwarium neapolitańskiego, przedsiębiorstwa, otrzymującego zasiłek od cesarza Wilhelma, o czem mało kto wie. Pan Krupp von Bohlen przeprowadził do pawilonu obu tych panów, oraz księcia i generała von Bernhardi, ażeby pokazać im album gości, utrzymywany przez panny Krupp od dzieciństwa. Tych trzech panów widziałam po raz pierwszy.

Muszę dodać, że nic jeszcze nie wiedziałam o generale von Bernhardi, słyszałam tylko, że w r. 1870 był pierwszym oficerem niemieckim, który wszedł do Paryża. Dość jednak było spojrzeć raz na tę ciekawą postać, żeby poczuć do niej odrazę: odnosiło się wrażenie, że należało obawiać się tego człowieka, ale nie można było go polubić.

Grzeczny gospodarz wymienił moje nazwisko i goście ukłonili się. Ukłon generała von Bernhardi uderzył mię niemiłe swoją sztywnością; stary żołnierz uważał za zbyt uczynne zginać gruby kark przed osobą tak mało znaczącą. Jednocześnie rzucił mi ostre spojrzenie z pod brwi krzaczystych; nie wiedziałam czy wogóle pogardza kobietami, czy też ja nie miałam szczęścia mu się podobać.

— Pani jest Angielką? — zapytał sucho po niemiecku tonem człowieka, przyzwyczajonego do wydawania rozkazów.

— *Miss A.* urodziła się w Waszyngtonie — śpie-

sznie odpowiedział za mnie p. Krupp von Bohlen swoim łagodnym i uprzejmym głosem — Waszyngton jest miastem najbardziej zajmującym w Stanach Zjednoczonych, mam bardzo miłe stamtąd wspomnienia. Dziadek miss A. był jednym z najznakomitszych oficerów wojennej marynarki amerykańskiej.

Mówiąc to, uśmiechał się do mnie z porozumieniem; pojęłam, że chciał mnie ostrzedz, a może prosić, żebym nie prostowała objaśnień, dawanych przez niego co do mego pochodzenia.

— To dobrze! — mruknął generał.

Było rzeczą oczywistą, że jakiegokolwiek było jego zachowanie względem kobiet, stanowczo nie lubił Angielek. Dowiedziałam się później, że stawiał wszystkie kobiety na jednym poziomie z „czworonogami“, że ilekroć musiał pokazać się gdzie razem z żoną, wciąż zaprzeczał gburowato temu co mówiła, na ulicy zawsze ją wyprzedzał, odpychał przy drzwiach, żeby wejść pierwszy; podobno tak samo postępował z obcymi paniami, znajomymi lub nie.

Każdy gość, będący pierwszy raz w willi, wpisywał swoje nazwisko do albumu, gdzie na pierwszej karcie widniały wspaniałe autografy cesarza i cesarzowej. Dawało to sposobność zaproszonym do rozwodzenia się nad przeszłą i teraźniejszą wielkością zakładów Kruppa. Nasz gospodarz mówił o tem w sposób dziwny, zarazem skromny i dumny, jak gdyby urodził się w tym sławnym domu, którego był tylko przybrany synem. Powiedział między innymi, że stuletnia rocznica założenia fabryki przypada w r. 1912 i będzie obchodzona bardzo uroczyście. Cesarz obiecał już swoją bytność. Na to zawołał generał von Bernhardt:

— Ach! zapewne na ten świąteczny dzień gotujecie nam tę wielką niespodziankę?

— W każdym razie marzymy o tem — odrzekł pan Krupp von Bohlen, zniżając głos.

Siedziałam na uboczu z małym Alfredem, któremu pokazywałam moje fotografie. Przyciszony nagle głos gospodarza zwrócił moją uwagę; czyżby chciał tym sposobem przypomnieć generałowi o mojej obecności? W obawie, żeby mię nie posądzono o niewczesną ciekawość, zaczęłam żywo rozmawiać z dziećmi, słyszałam jednakże, jak p. Eccius powiedział do generała:

— Jutro, panie generale, sam się przekonasz o tem, co przygotowujemy.

Generał w istocie poświęcił cały dzień następnym na oglądanie zakładów esseńskich, stanowiących prawdziwą twierdzę, do której mało osób ma dostęp. Wieczorem Bernhardi przyszedł z księciem do sali przeznaczonej na szkołę dla moich uczniów, żeby pożegnać się z nimi, nazajutrz bowiem wyjeżdżał.

Przez ten dzień zdażyłam wypytać się o niego moją śliczną hrabinę, która wszystko wiedziała i potwarzała, ubarwiając to nieraz swojemi dodatkami. Otóż generał uchodził za powagę w kwestjach strategii. Hrabina powiedziała mi nawet żartem, że już jest prawie przygotowany do upragnionej wojny z Anglią w tym celu właśnie zakłady w Essen wyrabiały nowe armaty, ową wielką „niespodziankę“. Nie przywiązywałam wagi do jej słów; przecież to naturalne, że fabryka Kruppa robi armaty!

Generał von Bernhardi, wchodząc do przesłicznej sali przeznaczonej na szkołę, tym razem wcale nie zwró-

cił na mnie uwagi, lecz usiadłszy na krześle, wziął obu moich uczniów na kolana. Ojciec ich stał naprzeciwko, spoglądając na sławnego wojennego teoretyka z uwielbieniem pełnem szacunku.

Chłopcy byli z nim zupełnie swobodni, chociaż kilka lat go nie widzieli i odpowiadali bez zająknięcia na zadawane im pytania. Starszy mówił, że będzie żołnierzem, młodszy marynarzem. Generał wypytywał starszego księcia o stan armji różnych państw, a dziecko było uszczęśliwione, że mogło popisać się wiadomościami, nabytymi od porucznika von X. Kiedy przyszła kolej na Anglję, chłopię oświadczyło, że posiada ona tylko 180,000 żołnierzy.

— Bardzo dobrze. Nie będziemy mieli z nimi wielkiego kłopotu, prawda, Wasza Wysokość? — urągał von Bernhardi.

— O tak — odrzekł mały książę — ale porucznik von X. upomina nas zawsze, żeby nie mówić o tem przy miss A.

Generał raczył spojrzeć na mnie, a szeroka jego twarz miała ten sam wyraz okrutny i brutalny, co wczoraj.

— Pani jest przyjaciółką Anglików? — mruknął szorstko.

Ośmieliłam się odpowiedzieć, że uważam Anglję za jeden z największych narodów świata.

— Głupstwo! — sarknął takim tonem, że nie zapomnę go nigdy.

Książę, dla którego moje pochodzenie nie było tajemnicą — von Bernhardi nie wiedział o niem, trzeba mu oddać sprawiedliwość — poparł zdanie generała i zaczął nam tłumaczyć, że Anglja, dzięki talentowi

zdobywania sobie osad bez względu na środki i zręczności swojej dyplomacji pozbawionej skrupułów, mogła być niegdyś potężnem państwem, ale to już nie istniało, skończyło się. Pod rządem liberalnym Anglja rozpada się, podobnie jak cesarstwo rzymskie; już rozbrzmiewa dzwon pogrzebowy jej wielkości. Skoro dzień próby nadejdzie ani jedna osada nie pozostanie jej wierna.

— Dostyc czytać dzienniki angielskie, żeby wiedzieć, z jaką szybkością Anglja wyrodnieje — oświadczył Bernhardi — palec przeznaczenia spoczął już na nich. Zasnęli, a skoro się rozbudzą, pod strasznym ciosem, będzie już zapóźno!

Byłam tak oburzona grubowatą szerszkością tego człowieka, że całą noc spać nie mogłam. Źródłem mego rozdrażnienia była raczej obrażona miłość własna, niż wrażenie uczuć generała względem mego narodu i skutków, które mogły z tego wynikać. Dopiero w dwa lata później zrozumiałam doniosłość jego zachowania się, które do tego czasu wydawało mi się tylko dowodem prostactwa i braku inteligencji.

Po wyjeździe generała bawiliśmy tylko dzień czy dwa w willi Hügel. Po naszym powrocie hrabina opowiedziała mi mnóstwo szczegółów o domu Krupp i potężnych jego właścicielach. Jedynie Bercie Krupp nie miała nic do zarzucenia, chyba to, że robi się z niej „mieszczanka“, ale męża jej nie szczędziła wcale.

— Kiedy wybuchnie wojna, von Bohlen będzie najpotężniejszym człowiekiem w cesarstwie — mówiła — wydał się pani gładkim i łagodnym, prawda? Umie on

zręcznie ukrywać swoją prawdziwą naturę! Wierz mi, nawet Bernhardi tak gorąco nie pragnie wojny, jak nasz miły Gustaw, chociaż uważałby za potwarz, gdyby kto go posądził, że marzy o krwawej walce jedynie dlatego, ponieważ stoi na czele fabryki armat. On jest bardziej Krupp, niż sami nawet Kruppowie. Wie o każdym słowie napisanem przeciw Anglii w trzech dziennikach, utrzymywanych za pieniądze Kruppów i podżega do napaści na nią. Z tego powodu cesarz i następca tronu tak go wyróżniają, nie licząc tego, że obaj mają udział w zyskach; to jest publiczna tajemnica. Wiedzą oni, czem w głębi duszy jest ten mniemany dyletant: marzy on o tem samem, co stary Krupp i cesarz...

Kiedy zagadnęłam hrabinę, co to za marzenie, rozśmiała się i rzekła, że sama kiedyś dowiem się o tem.

ROZDZIAŁ VI.

Następca tronu i jego żona.

W następnym roku, w ślicznym Marmurowym Pałacyku w Potsdamie obchodziliśmy uroczyste dzień urodzin jednego z synów kronprinca. Ponieważ cesarz przejeżdżał wtedy przez Potsdam, raczył zaszczycić to święto swoją obecnością, przywdziawszy dla uczczenia go jeden ze swoich wspaniałych niezliczonych mundurów. Zebrawszy w koło siebie gromadkę chłopców i dziewczynek, zaczął im coś opowiadać; my, którzy zdaleka patrzyliśmy na to, sądziliśmy, że musiała to być jakaś krótka bajka, czy zabawna powiastka, opowiadana bardzo żywo, z głową w tył odrzuconą, i oczyma szeroko rozwartemi. Dzieci chwyciły chciwie każde słowo, albo też, mimo swego młodzianego wieku, były już doskonałymi dworakami.

Tego dnia, moja mała księżniczka musiała zjeść na podwieczorek coś takiego co jej zaszkodziło — miała zawsze bardzo delikatny żołądek — dosyć, że w nocy *Frau Z.* przysłała do mnie po flakon soli angielskich. Raz przedtem dałam zażyć ich księżniczce z doskonałym skutkiem; teraz ona sama ich żądała, prosząc, żebym do niej przysłała. Kiedy była zdrowa, nigdy mi nie okazywała tych serdecznych porywów,

które głęboko wzruszały mię u jej braciszków. Udałam się do niej w nocy; po zażyciu soli zaraz się jej polepszyło, prosiła mię jednak, żebym przy niej posiedziała, chciała bowiem opowiedzieć mi okropny swój sen, o którym mówiła już *Frau Z.*, pytając się, czy podobna, żeby on mógł się sprowadzić.

— Ależ nie!—zawołałam, żeby ją uspokoić, gdyż na wspomnienie tego snu zaczęła rzucać się niespokojnie — sny nigdy się nie spełniają; *Frau Z.* powinna była powiedzieć ci to.

— Nie powiedziała mi tego — odparła księżniczka — nie byłaby się odważyła zaprzeczyć cesarzowi.

— Jakto? — zagadnęłam.

— Pani wie, że to dziś były także i moje urodziny, otóż cesarz powiedział nam, że sny, które miewa w rocznicę swoich urodzin, zawsze się sprawdzają, usilnie też prosi Boga o zesłanie mu dobrych snów tej nocy. Poradził nam, żebyśmy czynili tak samo, upominał, żeby zawsze pamiętać to, co nam się śniło wtedy i zapisywać to sobie w kajecie. Otóż ja chciałam koniecznie mieć piękny sen, tymczasem śniło mi się, że przez otwarte okno wpadł do mego pokoju okropny dzik i schował się pod łóżko. *Frau Z.* radzi mi zapytać cesarza, co to znaczy, ale ja nie śmiem, bo gotów jeszcze nastraszyć mię, że mój sen się sprawdzi i powie mi, że jestem głupia, kiedy nie umiem sobie poradzić, żeby mieć dobry sen, któryby się spełnił. Niech pani sobie wyobrazi, że cesarzowi w każdą noc urodzin śni się to samo!

— Czy o tem opowiadał wam, kiedy byliście zgromadzeni wkoło niego.

— Tak. Mówił, że w siedemnastą rocznicę swoich urodzin miał wspaniały sen i poprzysiągł sobie, że będzie miał go zawsze, gdyż kabalarka przepowiedziała mu, że sen, który wiele razy się powtarza, w końcu musi się spełnić. Robi w ten sposób, że całe dnie o tem myśli i dzięki temu widuje to samo w nocy. Sen jeszcze niezupełnie się sprawdził, ale cesarz jest przekonany, że to nastąpi prędzej czy później, a wtedy będzie panował nad całym światem...

— Doprawdy!—zawołałam—ależ to cudowny sen!

— Tak. Cesarz powiada, że wówczas Niemcy będą wielkie jak świat, on zaś będzie ich panem — zapewniła mała księżniczka. Uważałam to za utwór rozbudzałej wyobraźni dziecięcej; cesarz chciał czemś zabawić chłopców i dziewczynki i pochwycawszy pierwszą lepszą myśl, która przyszła mu do głowy, wypowiedział ją ze zwykłą żywością i zapałem. Wiedziałam też, że korzysta z każdej sposobności dla rozbudzenia uczuć „imperjalistycznych“ nawet w duszach dziecięcych; może wymyślił w tym celu ów cudowny sen? Nie byłabym się tem zajmowała, gdyby nie to, że w kilka dni później, lekarz dzieci, o którym przypuszczałam, że jest wyższy nad podobne plotki, opowiedział mi, że cesarz wielu osobom wspominał o tym śnie — olbrzymie państwo miało być pod panowaniem niemieckiem.

Tak w Berlinie, jak w Potsdamie, towarzystwo stanowiło istne gniazdo plotek o rodzinie cesarskiej. Najdrobniejszy szczegół z jej życia był roztrząsany niezliczoną ilość razy i niezawsze w sposób pochlebny,

a bohaterom tych opowiadań nadawano ubliżające przydomki. Nieraz dziwiłam się w duchu, że osoby obmawiające tak swobodnie cesarza i jego rodzinę nie lekają się, że to dojdzie do jego uszu, ale później zastanowiłam się, że wspólne winy są rękojmnią ogólnego milczenia: wydając innych, możnaby zdradzić i siebie.

Przypomniałam sobie, co mówił cesarz przy pierwszym naszym spotkaniu o książce, którą mam zamiar o nim napisać; gdybym chciała wydrukować małą częśćkę skandalicznych powiastek, krążących o dworze berlińskim i najwybitniejszych członkach arystokracji wojskowej, poruszyłoby to całą Europę.

Uderzyła mnie odrazu niechętna postawa całego społeczeństwa niemieckiego ód góry do dołu względem cesarza i znakomitych członków jego otoczenia. Nieraz, kiedy chęłpił się otwarcie, że osiągnął szczytu popularności, cały Berlin sarkał na niego. Częstokroć, wyższe i niższe sfery różniły się w zdaniu o nim; rzadko się trafiało, żeby jedno i drugie były jednocześnie zadowolone z niego.

To samo z następcą tronu. W r. 1910 wszyscy nazywali go „żydożercą“, a stronnictwo „junkrów“ i armia uwielbiały go za mowę, która oburzyła żydów, a nawet bogatą żydowską arystokrację, wypierającą się swego pochodzenia. Była chwila, że „Willi i Cilli“ — pieszczotliwe imiona używane w domowym pożyciu przez młodą parę, stały się ich przydomkiem w całym Berlinie — byli bożyszczami wyższego towarzystwa, zwłaszcza wśród młodzieży. Dopiero później, po sławnej bytności księcia w Indjach, papiery ich znacznie spadły, ponieważ podejrzywano Ich Cesarskie Wysockości, że skrycie wolą wszystko co cudzoziemskie od

tego, co niemieckie. Ubolewano nad „snobizmem“ księcia i jego żony, którzy chcieli „zadawać szyku“ swojemi stosunkami angielskimi i amerykańskimi, zamiast obdarzać swoją łaską własnych wyłącznie poddanych. Żymano się również, że następca tronu gwałtem narzuca wszystkim swoją manę do sportów angielskich i pragnie, żeby jego żona ubierała się w kostiumy angielskie, na wzór „tych brytańskich dragów“, z którymi flirtował podczas swojej podróży. Angielskie i amerykańskie stosunki księcia wywołały większe nawet rozjątrzenie, niż objawy życzliwości cesarskiej dla nie utytułowanych kapitalistów żydowskich, jak np. p. Alfred Ballin armator z Hamburga, albo bankier berliński Bernard Dernburg — improwizowany dyplomata z łaski cesarskiej, który złożył właśnie w r. 1910 tekę ministra kolonji.

Co sie tyczy żony następcy tronu, plotki powtarzane o niej były wogóle bardzo niewinne. Mówiono naprzykład o niej, że przed ślubem postanowiła być najpiękniejszą i najlepiej ubraną księżną w Europie, czego pragnął także jej narzeczony. Biedna księżna była w rozpacz, kiedy zobaczyła, że skutkiem ciągłego przybywania dzieci wiotka jej kibić znacznie zgrubiała. Opowiadano, że po urodzeniu pierwszego dziecka kazała odtworzyć z wosku swoją postać, pod każdym względem zupełnie do niej podobną i na tej lalce przymierzano paryskie i wiedeńskie suknie, nowe kapelusze, próbowano różnych sposobów czesania. Poczciwa dusza, od której to słyszałam, zapewniała, że nieraz bywał płacz i zgrzytanie zębów, kiedy stroje robiono na woskową figurę okazywały się za ciasne dla księżęcego pierwowzoru...

Opowiadano także o księżnie następczyni, że najwyżej dwa razy używa tej samej szczotki do włosów i szczoteczki do zębów. Utrzymywała, że skutkiem czyszczenia nabierają nieprzyjemnej woni i po dwóch dniach kazała je palić. Cały świat berliński gorszył się tym kaprysem, uważając go za wybryk, „francuski“ i nieledwie za nieprzyzwoitość, chociaż ta fantazja wcale nie była tak kosztowna, gdyż za każdym razem zdzierano ze szczotek złotą lub srebrną oprawę i zakładano ją na nowe.

Opowiadano o księżnie jeszcze jedną, mniej niewinną, historyjkę, którą można jednak powtórzyć. Wszyscy wiedzieli, że w pewnym zimowisku Engadinu, książę strasznie się bałamucił z pięknymi turystkami. Żona, dowiedziawszy się o tem, postanowiła się zemścić i zamieniła z wojskowym *attaché* angielskim kilka wesołych liścików. Ktoś bezimiennie ostrzegł o tem księcia, który zaczął pilnować korespondencji żony i pochwycił podejrzany list. Jakież jednak było jego zdumienie, kiedy otworzywszy kopertę znalazł w niej zamiast słodkiego bileciku dokument polityczny wielkiej wagi, tyczący się jakiegoś układu z Marokko i zawierający wiadomości, za które cesarz byłby chętnie zapłacił kilka tysięcy marek.

Książę poszedł prosto do „Cilli“, pytając się co to znaczy. Młoda kobieta z początku zmieszała się i przestraszyła na widok gniewu mężu, ale ponieważ nie miała sobie nic ważnego do wyrzucenia, gdyż jej „flirt“ był zupełnie niewinny, prowadzony tylko do ukarania „Willi’ego, wnet odzyskała zimną krew i z góry napadła na męża, oświadczając, że nie da żadnych wyjaśnień, dopóki nie zobaczy listu. Książę podał jej

wówczas memoriał angielskiego *attaché*. Ledwo księżna rzuciła na niego okiem, wnet przysła jej świetna myśl do głowy: dlatego jedynie była tak miła dla dyplomaty angielskiego, żeby wydobyć od niego ten szacowny dokument. Wreszcie na balu, wzamian za walc, najwięcej wymawiany jej przez „Willi’ego“ Anglik obiecał jej przysłać ten papier. Nie miała zamiaru pokazywać go mężowi, tylko powiedzieć mu najważniejsze rzeczy w nim zawarte. Dała słowo, że zaraz spali ten dokument i musi go dotrzymać.

Tego samego dnia, nieszczęśliwy Anglik, który okazał się tak roztargniony, po licznych staraniach zdołał wreszcie dotrzeć do księżnej, żeby zapytać się, czy przypadkiem, w kopercie do niej adresowanej nie zaplątał się ważny dokument dyplomatyczny. Młoda kobieta odpowiedziała, że spaliła ten papier i kazała mu zaprzestać dalszej korespondencji, która mogła narazić ich oboje na wielkie przykrości. Winowajca, który wbrew swojej woli oddał Niemcom ogromną przysługę, otrzymał zupełne przebaczenie.

Nie wiem, czy to prawda, ale osoba od której słyszałam tę historję, zapewniała mnie, że słyszała ją z ust księżnej. Zresztą ów dokument nie musiał mieć tak wielkiej wagi, kiedy w kilka miesięcy później, w r. 1911, Niemcy uważali, że w kwestji marokańskiej Anglja skrzywdziła je i upokorzyła.

ROZDZIAŁ VII.

Podróż następcy tronu do Indji i Egiptu.

Coś zaszło w tym czasie, co zmieniły życzliwość hrabiny do następcy tronu w głuchą nienawiść. Ta śliczna i niezmordowana dostarczycielka plotek światowych należy do rzędu kobiet, które wyobrażają sobie, że wszyscy mężczyźni je uwielbiają; może doznała pod tym względem jakiego upokarzającego zawodu? Pamiętam, że kiedy po swoim powrocie z podróży, następca tronu pojechał do Gdańska objąć dowództwo pułku huzarów śmierci, uroczą hrabina oświadczyła mi, że wysłany był do Indji w charakterze „urzędowego szpiega“. Zapewniła mię, że wie o tem z najlepszego źródła.

Oburzyłam się, nie chcąc uwierzyć tak nikczemnemu oskarżeniu, ale hrabina upierała się przy swoim. Zadaniem jej, „Willi“ mógł oddać wielkie usługi w tej roli, a przytem trzeba było oddalić go na jakiś czas, gdyż wywołał ogólnie niezadowolenie. Większość społeczeństwa niemieckiego uważała, że zawiele czasu poświęca sportom. W istocie, odkąd wyszedł z lat chłopców, tygodnie i miesiące był na urlopie, opuszczając pułk dla różnych rozrywek. Ten brak sumienności, to lekceważenie obowiązków zawodu sprawiło jak naj-

gorsze wrażenie, pomimo zapału i gorliwości, którą popisował się we wszystkich rzeczach dotyczących armji. Bezwątpienia był jej bardzo oddany, szczególnie, kiedy szło o parady wojskowe i świetne mundury—tak utrzymywała hrabina — ale podobno na manewrach popełnił często fatalne błędy i nigdy nie wahał się porzucić jednostajnych obowiązków oficera dla polowania, ślizgawki, albo gry w polo. Wybryki jego ściągnęły nie-raz na niego kary i połajanki ze strony ojca. Cesarz, dotknięty chorobliwą potrzebą ruchu, surowo ganił w innych, nawet u własnych synów, objawy tej dziedzicznej wady.

Hrabina dodała, że prawdopodobnie pomysł podróży do Indji zrodził się w bujnym umyśle wielkiego podróżnika, p. Bernarda Dernburga, wówczas ministra kolonji; on pierwszy zwrócił uwagę cesarza na korzyści polityczne takiej wycieczki. Kilka razy spotkałam w Potsdamie tego Dernburga i trudno mi było uwierzyć, żeby podobny człowiek mógł wywierać taki wpływ na cesarza, pomimo usług pożytecznych, które oddawał w zakresie finansów lub polityki. Wydał mi się nawskroś pospolitym.

Kiedy zostałam mu przedstawiona, wyobraził sobie również, że jestem Amerykanką i poświęcił mi pół godziny, żeby pokazać, w jakim stopniu i on jest „Amerykaninem“. Zdawało mu się, że sprawi mi to ogromną przyjemność, skoro się dowiem, że spędził w New-Jorku „trzy najmiłsze lata swojej młodości“. W każdym razie, jego zachowanie się bynajmniej nie przynosiło zaszczytu Ameryce, mimo to ten niski, niezgrabny grubas uważał się za najmiłszego i najdowcipniejszego gawędziarza. Na domiar, posługiwał się w roz-

mowie jakąś gwarą amerykańską, co nie mogło zjednać mię dla niego. Dziwiłam się w duchu, jakim sposobem dwór tak „zamknięty“ mógł przyjmować tego żyda o wystających ramionach i ogromnej brodzie, która nie zakrywała potężnych szczęk, rozwiniętych jak u drapieżnego zwierzęcia.

Takie wrażenie pozostawił mi p. Dernburg, trudno mi też było wyobrazić go sobie w charakterze doradcy cesarza, kiedy szło o następcę tronu. Teraz jednakże, widząc rolę, którą ten człowiek odgrywa w Stanach Zjednoczonych, przypuszczam, że ten w istocie poddał cesarzowi myśl wysłania następcy tronu zagranicę, jako szpiega. Trzeba oddać sprawiedliwość panu Dernburgowi, że skoro wytknie sobie raz drogę postępowania, będzie nią szedł przez ogień i wodę, poprowadzi innych za sobą, a nie cofnie się; można wyczytać niezłomny upór na brzydkiej jego twarzy.

Pierwotny plan podróży księcia obejmował oprócz Indji i Egiptu, Chiny, Japonję i w powrotnej drodze — Rosję. Ale ponieważ wybuchnęła wtedy zaraza, musiano ograniczyć się do posiadłości angielskich. Gdyby nie ten nieszczęśliwy wyrok Opatrzności — jak mówiła hrabina ze swoim złośliwym uśmiechem — kochany „Willi“ byłby mógł przekonać się naocznie o postępach reorganizacji armji rosyjskiej, oraz zręcznie wkraść się w łaski świeżych sprzymierzeńców Anglji, Japończyków i zaszkodzić tam interesom angielskim. Moja przyjaciółka zwróciła mi uwagę, że przyszły dziedzic korony, wówczas 28-letni, otrzymał od najwyższego sprzymierzeńca Niemiec — to znaczy od Boga — wszystkie przymioty, żeby stać się pierwszorzędnym „nadszpiegiem“.

— Gdyby nas nie ostrzegęło fałszywe spojrzenie księcia — mówiła mi do ucha niedyskretna hrabina — możnaby wziąć go za poczciwego, naiwnego chłopca, zawsze gotowego do uśmiechu i równie szczerego, jak ojciec. Ale ktokolwiek zna tych dwóch ludzi, wie, że pozorna ich dobroduszość jest tylko sztuką. Obaj posiadają zdolność pokazywania tego, co chcą, a to szacowny dar dla takich jak oni gadułów; zdarza się też, że powiedzą coś wręcz przeciwnego, niż powinni i wtedy wzajemnie złoścżą na siebie. Ale niech pani nie sądzi, że źródłem tego wielomówstwa jest chęć objawienia światu tego, co myślą rzeczywiście; okropne ich „bąki“ pochodzą z szalonej próżności i braku taktu. Wysyłając księcia do Indji, Dernburg, oraz inni doradcy cesarza byli przygotowani na jego „bąki“, ale z drugiej strony wiedzieli, że posiada on wszystkie dane, żeby przeprowadzić to, czego spodziewali się po nim: potrafi się [podoać, szeroko otwierać oczy i jest skończonym sportsmanem.

Było to zadanie tak łatwe, że Dernburg i inni nie zawahali się powierzyć go następcy tronu, tembardziej, że pilno im było pozbyć się go jak najprędzej z Niemiec, gdzie istotnie robił jedno głupstwo po drugim. Niemożność wstąpienia do Japonji i Rosji — szczególnie do Rosji! — stanowiła dla tych panów ciężki zawód, najważniejszą jednak częścią programu był pobyt w Indjach, Rosję zaś zastąpiono Egiptem, gdzie nasz Willi miał długą i poufną rozmowę z kedywem.

W instrukcjach, danych przed wyjazdem młodemu podróżnikowi, polecano mu, żeby się przekonał o nastroju książąt indyjskich względem panowania angielskiego. Z tego powodu musiał poświęcić większą część

czasu na polowania i różne rozrywki, wyrzucane mu przez dzienniki liberalne i socjalistyczne, jako pozbawione charakteru intelektualnego. W wyższych sferach cieszone się nawet z tych wymówek, które wobec opinii społeczeństwa angielskiego przedstawiały księcia jako sportsmana, rozmiłowanego jedynie w wyprawach myśliwskich i różnych „partjach“. Polecono mu także chwalić głośno rząd angielski i zapoznać się z jego systemem, dzięki czemu będzie mógł stykać się ze wszystkimi klasami społeczeństwa. W towarzystwie dr. Wegenera nie tylko odwiedził nizama w Hyderabad, oraz innych książąt indyjskich, ale miał także sposobność rozmawiać z kupcami, studentami, wojskowymi induskimi i angielskimi. Wynosząc pod niebiosa europejskich panów Indji, mógł wywołać ze strony krajowców jakie słówko, lub spojrzenie, świadczące o skrytem ich niezadowoleniu, a jednocześnie swoim obejściem i postępowaniem sprawić wrażenie najkorzystniejsze dla potęgi domu Hohenzollernów.

Przez jakiś czas, sprawozdania przesyłane do Berlina przez agentów towarzyszących młodemu księciu były tak zadowolające, że przeszły wszelkie oczekiwania cesarza i jego doradców. Stopniowo jednak dostała się do Niemiec wiadomość o dwóch „potknięciach“ się księcia. Zaproszony przez wysokiego dygnitarza induskiego, który przygotowywał na jego cześć wspaniałe polowanie, zaczął uganiać się za zwierzyną nieobjętą programem urzędowym. Urzędnicy i oficerowie angielscy stłumili naturalnie skandal, mimo to uważali postępowanie księcia za osobistą zniewagę, upokarzającą dla wszystkich Europejczyków. Cesarz dowiedział się o tej historii od jednego z agentów, obowiązane donosić

mu w cyfrowanych depezbach o każdym kroku księcia, złym czy dobrym. Nieszczęśliwy agent musiał napisać, że Jego Cesarska Wysokość fatalnie nadużył gościnności swego induskiego gospodarza, próbując dostać się w nocy do jednej z pań haremowych. Że owa pani pozwoliła na te odwiedziny, nie usprawiedliwiało tego kroku, który byłby naraził następcę tronu na los każdego innego kochanka w tym wypadku... Hrabina nie wiedziała z pewnością, co się stało z ową piękną Induską, ale oficer, od którego słyszała tę historję, utrzymywał, że dwóch oficerów angielskich musiało się poświęcić i odegrać rolę kozłów ofiarnych dla wybawienia z kłopotu dostojnego winowajcy.

Drugą rzeczą nieudaną był epizod z polowania na dziki. Wiadomość pochodziła z tego samego źródła, co pierwsza, ale może hrabina ubarwiła ją według swego zwyczaju. W okręgu Muttra książe przyjął gościnę w pułku jazdy irlandzkiej, *the Inniskillen — Dragoons*. Książe Aleksander of Teck opowiadał mu, jak wspaniale przyjęli go tam oficerowie tego pułku i nawet książe Connaught bardzo sobie chwalił pobyt w tym garnizonie.

Książe wiedział, że w całych Indjach niema takiego polowania na dziki, jak w Muttra i zaledwie wyraził życzenie wzięcia udziału w takiej wyprawie, pułk irlandzki, chcąc utrzymać swoją reputację, postanowił urządzić dla niego łowy na dzika. Kiedy książe przyjął zaproszenie, oficerowie nie szczędzili kosztów i starań, żeby ugościć go jak najwspanialej. Sprowadzono nawet dla niego dwa najlepsze w Indjach wierzchowce, umyślnie tresowane do polowania na dziki. Wiedzano, że Jego Cesarska Wysokość jest znakomitym jeźdźcem

i bywał już w Indiach na polowaniach grubego zwierzaka, nie uważano więc za stosowne obniżyć poziomu wyprawy, to znaczy poczynić w niej pewne ułatwienia i umniejszyć niebezpieczeństwo. Byliby to zrobili, gdyby gość był starszym człowiekiem, albo nienawykłym do łowów. Zuch, który nie lękał się szybować pod obłokami na zeppelinie, nie cofnie się przecież przed poświęceniem za dzikami. Dzielni oficerowie irlandzcy nie wiedzieli, że na dziedzica niemieckiej korony przychodzi chwila słabości — wada organiczna, odziedziczona po dostojnym rodzicu.

Obaj, mimo niezaprzeczonej odwagi, dostają niekiedy napadów nerwowego drżenia; zdarza się to zawsze w chwilach najmniej odpowiednich. U cesarza objawiło się to po raz pierwszy w dzień wstąpienia jego na tron i chociaż te ataki przychodzą dość rzadko, możliwość powtarzania się ich budzi w nim wielką trwogę. Z tego powodu nie odważył się nigdy wznieść się w powietrze z hrabią Zeppelinem, albo Orville'm Wright, nie może może ręczyć za siebie.

Książę następca także podlega niekiedy napadom nerwowego strachu i chociaż śmiało jeździ konno — szczególnie na paradach wojskowych wobec ubóstwiających go tłumów — zręcznie gra w polo i wyróżnia się na wyścigach z przeszkodami, niemniej jednak myśl o niebezpieczeństwie wywołuje czasem u niego nieprzewyciężone drżenie. Zdarzyło się to właśnie, kiedy przyprowadzono konie, jak na złość w chwili, kiedy biedny chłopiec powinien był odznaczyć się na polowaniu, urządzonem na jego cześć! Przygląda się najprzód jednemu z wierzchowców, sprowadzonych dla niego wielkim kosztem przez uprzejmych gospodarzy,

potem drugiemu, oba jednak wydają mu się zbyt ręce i ogniste. Co począć? Na ich widok chwyta go drżenie, nad którem nie może zapanować... Dla uratowania pozorów musiał udać chorego — jak mówiła hrabina. Wyprawa myśliwska, z takim trudem i kosztem urządzona dla niego przez biednych Irlandczyków, zupełnie chybiła, zostawiając jedynie uczucie pogardy i niechęci dla gościa.

Zato w Egipcie wszystko poszło jak po maśle i sam książę z dumą doniósł cesarzowi, że tajemne jego widzenie się z kedywem miało skutki „jak najbardziej zachęcające”. Kedyw i młodszy jego brat Moham-med Ali przyrzekli dopomódz Niemcom, „skoro nadzieje chwila stanowcza”. Mimo to awantura w haremie wywołała takie niezadowolenie w Berlinie, że coprędzej odwołano księcia.

ROZDZIAŁ VIII.

Siostra i siostrzenica pana Steinhauera.

Wbrew temu co mi przepowiadano, hałaśliwe życie w Berlinie bynajmniej mię nie zachwycało. W tem ogromnem mieście wszystko jest ciężkie i sztywne, pozbawione fantazji; najwięcej jednak razi to zadowolenie z siebie, ta wojownicza buta, będąca jedną z cech charakteru pruskiego. Wrażenie to z czasem spotęgowało się jeszcze. Stary Potsdam, pełen wspomnień historycznych, daleko lepiej mi się podobał.

Mieszkaliśmy naprzemian to w jednym, to w drugim mieście. Często widywałam przejeżdżającego cesarza w żółtym samochodzie o królewskich barwach pruskich. Następca tronu ciągle był w ruchu i sam prowadził samochód, pędząc na złamanie karku z papierosem w ustach; zamiast patrzeć wprost przed siebie, rozglądał się na prawo i na lewo. Miał na swoim pojeździe jakieś czarne straszdyło, które machało rękoma; wylęknione konie często skutkiem tego ponosiły. Nieraz samochód był przepelniony młodemi paniami i olbrzymiemi psami, które wciąż chciały zeskaکیwać na ziemię.

Księżę następca był dosyć popularny, lecz więcej jeszcze lubiono jego żonę, której dano przydomek

„słońce Berlina“. Była zawsze bardzo uprzejma, kłaniała się i uśmiechała, kiedy tymczasem jej mąż miał minę nachmurzoną. Raczył niekiedy pokazywać się w oknie pałacu, sam, albo z którym synem na rękę. Udawał wtedy, że nie widzi tłumów wpatrzonych w niego, ale wyraz jego twarzy świadczył, że jedynie żądza efektu wywoływała to popisywanie się miłością ojcowską.

Co tydzień miałam wolne popołudnie i byłabym rada spędzić je z przyjaciółmi, tymczasem musiałam biegać po sklepach za sprawunkami. We wszystkich zamkach, pałacach i willach księcia panował ten sam system, co w domach cesarskich: każdy wydatek połączony był z licznymi formalnościami i dopiero po długiej zwłoce przedmiot stłuczony lub zniszczony mógł być zastąpiony nowym. Wiedząc o tem, wolałam kupić z własnej kieszeni to czego potrzebowałam dla siebie lub dla dzieci, niż czekać na to tygodniami. Miałam też zawsze u siebie mały zapas ciastek i czekolady na wypadek, gdyby jakaś nieprzewidziana okoliczność pozbawiła mię którego posiłku. Dzieci również z tego korzystały i gdyby nie było żywności w mojej szafce, nieraz byłyby głodne; w urzędowym programie trafiały się takie zdarzenia.

Kiedy czytałam im *Robinsona szwajcarskiego*, oświadczyli, że podobna jestem do matki młodych bohaterów, która podczas katastrofy okrętowej, zbierała do woreczka wszystko co mogło być im potrzebne na wyspie. Nazwano mię odtąd „panią Robinson“ i ten przydomek tak się podobał, że nawet księżna inaczej mię nie nazywała.

Raz w Berlinie, kiedy pisałam listy angielskie pod dyktandem księżny, wpadł nagle następca tronu. Księżna wyszła z nim do innego pokoju, zostawiając mnie samą w buduarze, wkrótce jednak wróciła i powiedziała mi, że dzieci będą się fotografowały dla hr. Zeppelina, który trzymał do chrztu najmłodszego księcia. Na życzenie jej poszłam pomódz przy pozowaniu.

W sali przeznaczonej na szkołę już nie zastałam dzieci: powiedziano mi, że ojciec zabrał je do pokoju do palenia. Udałam się za nimi, ale wtem drzwi się otworzyły i z pokoju wyszedł cesarz, następca tronu i dwóch nieznanych mi oficerów, z których jeden był starszy i gruby. Wszyscy czterej rozmawiali żywo i śpieszyli się. Zdawało mi się, że widzę cień niezadowolonia na twarzy cesarza, który przeszedł przedemną, nie zwróciwszy na mnie uwagi.

Zostawili za sobą drzwi otwarte, zobaczyłam więc młodego, także nieznanego mi oficera, stojącego przy stole, na którym rozłożone były wielkie mapy. Wokoło niego cisnęły się dzieci, nie zauważył przetomego wejścia i dopiero kiedy księżna przedstawiła mnie jako nauczycielkę Angielkę, skłonił się grzecznie, lecz z widocznym zakłopotaniem. Dowiedziałam się, że fotograf już odszedł, albowiem cesarz, który raczył także należyć do grupy, nie mógł czekać ani chwili dłużej.

— Niech pani zobaczy piękną mapę swego kraju! — zawołał najstarszy mój uczeń.

Słyszając to, młody oficer zmieształ się jeszcze bardziej, ale nic nie powiedział, kiedy pochyliłam się nad mapami rozłożonemi wokoło brązowego popiersia

Napoleona. Największa przedstawiała W. Brytanię, oraz część Niemiec, Holandję, Belgję i północną Francję. Była istotnie ślicznie wykonana, usprawiedliwiała zachwyty małych książąt. Uderzyły mię tylko na niej koła koncentryczne, narysowane czerwonym atramentem i rozciągające się przez morze Północne od lądu stałego do naszej wyspy. W pośrodku ich były wypisane czerwonym atramentem nazwy niektórych miast nadbrzeżnych, oraz liczby i jakieś niemieckie słowa. Nie miałam pojęcia, co to znaczyło, oficer zaś nie miał ochoty do objaśnień, lecz przeciwnie pragnął usunąć te mapy i zaledwie oddaliłam się od stołu, zaczęła starannie zwijać tę, którą oglądałam. Pod niemi były inne, nie zauważyłam jednak na nich tych tajemniczych znaków, porobionych czerwonym atramentem.

Zupełnie zapomniałam o tem, dopiero w październiku r. 1914, kiedy znajomy oficer angielski zaczął mię wypytywać, jakie przygotowania do wojny zauważyłam na dworze pruskim, przyszyły mi na myśl owe mapy ozdobione kołami czerwonymi. Wysłuchawszy mego opisu, oficer oświadczył, że koła oznaczały odległość, którą będą musiały przebiec zepeliny lub aeroplany. Dla uniknięcia omyłek wypisano także nazwy miast angielskich, francuskich i niemieckich,

W umowie zastrzegłam sobie najmniej trzy tygodnie wakacji, które wolno mi będzie spędzić w Anglii, lub gdziekolwiek będę chciała. Ale w rok po moim przyjeździe młodszy książę dostał koklusz, nie mogłam więc opuścić go i zamiast w Anglii, spędziłam z nim wakacje w willi w Czarnym Lesie. Rodzice jego

narówni z cesarzem obawiali się chorób zaraźliwych, pojechałam więc sama z nim, z pielęgniarką umyślnie w tym celu zgodzoną, z panną służącą i lokajem.

Mały książę wkrótce przyszedł do zdrowia, nasze zaś wygnanie zabezpieczało inne dzieci od zarazy. Księżna przez wdzięczność za moje starania, ofiarowała mi w następnym roku cały miesiąc wakacji zamiast trzech tygodni. Postanowiłam spędzić je na wsi koło Portsmouth u ciotki i wuja, wysłużonego oficera, który zajmował się ćwiczeniem rekrutów.

Raz przy stole, księżna zapytała mię, dokąd myślę wyjechać. Odpowiedziałam, że w okolice Portsmouth i wspomniałam o zawodzie mego wuja; książę, obecny tej rozmowie, słuchał jej z wyjątkowem zajęciem. Rzadko przychodził na śniadanie, jedynym posiłku spożywanym przez dzieci razem z rodzicami i zawsze był wtedy milczący, roztargniony, nie starając się nawet ukryć swego znudzenia. Tym razem, przeciwnie, zaczął wypytywać mię o wuja, o odległość jaka dzieli jego dom od portu, o stosunki moje w okolicy. Wymienił nazwiska kilku znajomych oficerów marynarki, których spotkał w Portsmouth. Byłam bardzo rada, że przypadkiem natrafiłam na przedmiot, który go zaciekawił.

W kilka dni później, kiedy zapomniałam już o naszej rozmowie, księżna wieczorem przysłała po mnie o niezwyklej godzinie. Powiedziała mi, że mąż jej wspomniał jednemu ze swoich przyjaciół o moim wyjeździe do Angji, otóż przyjaciel ów prosił, czy nie byłabym tak dobra zaopiekować się jego siostrzenicą w drodze z Berlina do Harwich. Uważałby to za wielką łaskę z mojej strony, gdyż inaczej panna Elza

Niemann, udająca się do Southsea niedaleko Portsmouth, musiałyby jechać sama.

Naturalnie, odpowiedziałam, że będzie mi bardzo przyjemnie, mieć taką towarzyszkę i nazajutrz otrzymałam od panny Elzy list z podziękowaniem; dodawała w nim, że upoważniona przez Ich Cesarskie Wysockości, przyjdzie wyrazić mi swoją wdzięczność osobście.

Byliśmy wtedy w Potsdamie. Tego samego dnia, pomimo ulewnego deszczu, młoda panna przyjechała z Berlina. Nie miałam w pałacu własnego saloniku, upoważniono mię tylko do korzystania w wolnych chwilach z wielkiego pustego pokoju, przez który od rana do wieczora dzieci przebiegały z psami. Wołałam też przyjąć pannę Elzę w pokoju szkolnym, gdzie podano podwieczorek dla nas i dla małych książąt. Była to śliczna jasnowłosa dziewczyna, a sposób czesania nadawał jej pozór dziecinny. Ubrana bardzo skromnie, wyglądała na 15 lub 17 lat, w rzeczywistości jednak musiała mieć najmniej 27.

Mówiła mi, że chce być na pensji angielskiej, żeby wydoskonalić się w naszym języku i obeznac z naszymi metodami nauczania; miała nadzieję, że dostanie później miejsce nauczycielki w Londynie. Była tak miła i szczerą, że odrazu pozyskała moją życzliwość; ona zaś twierdziła, że mię pokochała. Przed odjazdem prosiła usilnie, żebym w wolny dzień przyjechała do jej matki, na kawę, do Berlina.

Przyrzekłam i zaraz w następnym tygodniu postarałam się dotrzymać słowa. Niemannowie mieszkali w wielkim domu na jednym z wyższych pięter; nie było windy, musiałam więc iść na górę po nieskończonych

schodach kamiennych. Usłyszałam, że ktoś idzie za mną; był to mężczyzna starannie ubrany, lecz bardzo pospolity; cały spocony, trzymał kapelusz w ręku, gdyż dzień był bardzo gorący. Doszedłszy na najwyższe piętro, zaczęłam szukać na drzwiach biletu wizytowego z nazwiskiem pani Niemann, lecz zanim zdążyłam zadzwonić, ów nieznajomy z grzecznym ukłonem nacisnął dzwonek.

Ponieważ nie śpieszono się z otwarciem drzwi, gość przedstawił mi się, jako wuj panny Niemann, Steinhauer. Odrazu odgadł we mnie miss A. i przyszedł umyślnie podziękować mi za moją uprzejmość, wiedząc, że o tej godzinie będę u jego siostry. Obejście jego było zupełnie poprawne i pełne uszanowania, chociaż według sztywnych przepisów etykiety niemieckiej powinien był poczekać, aż będzie mi przedstawiony.

Kiedy pani Niemann otworzyła drzwi, byliśmy już zaznajomieni z sobą. Była to piękna brunetka o wybitnym typie żydowskim, lecz wydała mi się za młodą na matkę Elzy. Później dopiero dowiedziałam się, że między temi trzema osobami nie było żadnego pokrewieństwa, ale wtedy nie miałam zupełnie powodu do podejrzewania ich o kłamstwo. Pani Niemann, pomimo wielkiej urody i strojnego ubrania, wydała mi się osobą należąca do niższej sfery, podobnie jak pan Steinhauer, o którym księżna mówiła, że jest „przyjacielem“ jej męża. Pomyślałam sobie, że zapewne ten człowiek skromnego pochodzenia musiał być potęgą finansową, tembardziej, że chętnie rozmawiał o p. Ballinie z Hamburga i p. Krupp von Bohlen, jak gdyby utrzymywał bliskie z nim stosunki. Mówił dosyć dob-

rze po angielsku i wychwalał przedemną Anglię i wszystko co angielskie, z wyjątkiem muzyki. Za jego radą panna Elza udawała się do Southsea, gdzie miał stosunki, nie mogąc sam jej towarzyszyć, był nieskończenie wdzięczny, że podjął się opieki nad nią. Liczył na moją dobroć, że przedstawię jego siostrzenicę moim krewnym i przyjaciółom.

Musiałam odpowiedzieć, że moi wujostwo najchętniej przyjmą tak miłą panienkę; było to zupełnie szczerze z mojej strony, Elza bowiem wydała mi się równie ładna, jak skromna. Na życzenie „wuja“ usiadła do fortepianu i ślicznie zaśpiewała jakąś piosenką niemiecką

Pan Steinhauer przyjechał na dworzec pożegnać siostrzenicę i był tak uprzejmy, że ofiarował nam pudełko pierników. Muszę dodać, że trudno o miłszą towarzyszkę podróży, jak panna Elza. Skutkiem moich pochwał, wujostwo pozwolili mi zapraszać ją, ile razy zechcę. Prosiłam ją, żeby spędziła z nami przyszłą niedzielę, a wujostwo byli tak zachwyceni śliczną jej twarzyczką, skromnem obejściem i czarującym śpiewem, że zaprosili ją na wszystkie niedziele.

Panna Elza skorzystała z tego i co tydzień do nich przyjeżdżała. Po moim wyjeździe odebrałam list od ciotki, która donosiła mi, że na jej prośby „kochana Elza“ zgodziła się spędzić u nich dwa tygodnie, resztę wakacji miała przebyć u przyjaciół wuja w Londynie. Ciotka wspomniała mi również, że musiała oddalić swego służącego; na jego miejsce zgodzony został bardzo przyzwoity Austriak z doskonałemi świadectwami, „umiejący wybornie przyrządzać kawę po wiedeńsku“. W drugim liście była wzmianka, że ten cudzoziemiec

jest ideałem służącego, ale jednocześnie ciotka donosiła mi, że zostali okradzeni.

Jednego wieczoru, kiedy wujostwo pojechali do Londynu, zaproszeni przez przyjaciół Elzy na balet rosyjski, złodzieje dostali się do domu i ukradli klejnoty, książki, papiery wartościowe. Większa część klejnotów była własnością biednej Elzy i to najwięcej martwiło ciotkę, gdyż ona poradziła jej zostawić je w willi. Osobista strata mało ją dotknęła, zato wuj nie mógł odzłować rzadkich i cennych dzieł, oraz licznych map, które służyły mu do nauki rekrutów. Podejrzenia policji odrazu padły na nieszczęśliwego służącego, ponieważ był cudzoziemcem. Przetrząsnięto jego rzeczy, ale nic nie znaleziono, a prócz tego mógł udowodnić, że wieczorem, kiedy spełniono kradzież, był w teatryku w Portsmouth. Dokumenty wojskowe były razem z rzadkimi książkami w szufladzie zamkniętej na klucz; wuj przypuszczał, że złodziej w pośpiechu zabrał wszystko, nie mając czasu rozejrzeć się w swoich łupach. Zresztą plany były już stare i nie miały wielkiego znaczenia.

W kilka miesięcy później dowiedziałam się, że klimat angielski nie służył Austryjakowi, który skutkiem tego wrócił do swego kraju. Elza wzięła miejsce nauczycielki w Londynie i przez rok pisywała stale do wujostwa, donosząc im o podróżach, które odbywała z rodzicami swoich uczniów. Potem listy jej ustały i ciotka zapytywała mnie o nią. Na jej prośbę udałam się do dawnego mieszkania pani Niemann, ale ktoś inny je zajmował. Żona odźwiernego nie umiała mię objaśnić, powiedziała tylko, że ta pani oddawna już wyjechała do Frankfurtu, ale nie przysłała swego adresu.

Sądziłam, że moje stosunki z temi paniami już się skończyły, raz jednak zapytałam księżny, czy przypadkiem nie zna niejakiemu pana Steinhauera, będącego w stosunkach z jej mężem. Nie знаła go wcale i dodała ze śmiechem, że jak dowodzi nazwisko „Steinhauer“, taki człowiek nie mógł należeć „do ich świata“.

Byłam w Portsmouth w r. 1911. Następnego lata, kiedy wybierałam się do Anglii, księżna prosiła mnie jak o łaskę, żeby odłożyć moje wakacje do zimy. Oboje mieli różne obowiązkowe wizyty, księżna zaś nie chciała powierzyć dzieci nikomu innemu. Nie mogłam odmówić, lecz skoro nadeszła zima, okazało się, że księżna także nie może obejść się bezemnie. Dała mi tylko urlop na tydzień, ale na Boże Narodzenie, zamiast jakiego drobnego upominku, który dostawałam zwykle, otrzymałam piękną broszkę brylantową. Na tydzień nie warto było jechać do Anglii, a ponieważ po trzech latach ciągłego napięcia nerwów czułam się bardzo zmęczona, postanowiłam użyć moich wakacji na przeprowadzenie „kuracji odpoczynkowej“ w jednej z berlińskich lecznic.

Kuracją wcale się nie udała, gdyż często nie mogłam spać do 3-cj lub 4-ej w nocy z powodu hałasu ulicznego, nieustannego turkotu samochodów, oraz śpiewu i śmiechu ludzi, wychodzących z nocnych kawiarni, któremi chełpi się Berlin. Wróciłam do pracy jeszcze więcej znużona, a wypadki następnych tygodni bynajmniej nie przyczyniły się do uspokojenia moich nerwów.

ROZDZIAŁ IX.

Zamach na księcia następcę.—Dalszy ciąg i zakończenie znajomości z paniami Niemann.

Wkrótce po moim powrocie nastąpił zamach na księcia: rzucono na niego bombę wieczorem, kiedy wracał z teatru. Bomba nie wybuchnęła, winowajca został aresztowany i sprawę stłumiono, podobnie jak po zamachu na następcę tronu. Wmówiono wtedy w publiczność, że jakiś pijany robotnik rzucił na księcia następcę pustą blaszankę, mszcząc się za to, że książe nazwał „nędznikami“ wszystkich socjalistów. Słyszałam wówczas co mówiono na dworze o tej sprawie i wiedziałam, co zawierała owa niewinna blaszanka. Materiały wybuchowe były źle przygotowane i Jego Cesarka Wysokość cudem uniknął niebezpieczeństwa.

Co się tyczy nowego zamachu, policja rozpuściła wiadomość, że doniczka z kwiatami stojąca na oknie została zrzucona przez wiatr właśnie w chwili, kiedy książe przechodził tamtędy z przyjaciółmi. To samo powiedziano księżnie, ale nie uwierzyła temu i musiano wyznać jej prawdę,

Po tym wypadku, nasze „życie duchowe“, które nigdy nie odznaczało się harmonją i spokojem, stało się jeszcze burzliwsze. Dowiedzieliśmy się, że twórca

spisku przeciw księciu bynajmniej nie był socjalistą, lecz bratem młodego oficera, który kilka tygodni temu odebrał sobie życie w zagadkowych okolicznościach. Był on niegdyś dobrze znany w arystokratycznych kołach Berlina i Potsdamu i hrabina nieraz tańczyła z nim na balach. Dostał policzek od jakiegoś pana, z którym się pokłócił i musiał wystąpić z wojska, gdyż zniewaga wyrządzona oficerowi, uważa się za osobistą zniewagę cesarza. Dziwiono się, że zaraz nie odebrał sobie życia, tembardziej że był bardzo zadłużony, tymczasem wyjechał zagranicę, zostawiając swój adres za ledwie kilku przyjaciółom. Długi jego zostały splacone i rodzina rozpuściła wiadomość, że osiedlił się w Ameryce południowej, gdzie odkrył bogate „pokłady“, na których „światne robił interesa“.

Tymczasem hrabina, która umiała przeniknąć wszystkie tajemnice, utrzymywała, że zamiast do Ameryki, były oficer pojechał do Anglii, gdzie skutkiem wpływu księcia otrzymał miejsce w niemieckim biurze szpiegowskim. Pokładano wielkie nadzieje na jego urodzie, światowem ojęściu i znajomości kilku języków. Powierzono mu jakąś ważną misję, która się nie udała i przez to stracił miejsce. Ojciec błagał księcia o wstawienie się za nieszczęśliwym chłopcem, ale książę odmówił i w kilka dni później były oficer poderzwał sobie gardło w swojej kajucie na parowcu na Renie. Brat jego przebrany za robotnika, rzucił bombę na księcia i po swoim uwięzieniu oświadczył, że chciał ukarać go za „brak serca“.

Sąd odbył się w tajemnicy; skazano winowajcę na długoletnie więzienie. Oznajmiono to księżnic, żeby ją uspokoić, mogła być teraz pewna, że zamach się nie

powtórzy i nikt nie będzie myślał o odwecie, czego możnaby się lękać, gdyby to był spisek uknuty przez tych „potworów socjalistów“. Mimo to księżna żyła w ciągłej obawie, chociaż nie pokazywała tego po sobie, po dawnemu bywała w świecie i udawała wesołość. Truchlała o męża, o dzieci, a może i o siebie. Śród tych ciężkich dni próby powzięłam dla niej prawdziwe przywiązanie, chociaż ciągła jej zmienność i bezwiedne samolubstwo nieraz dały mi się we znaki. Urok jej pociągał mię do niej jak magnes i widząc ją tak stroskaną, chętnie dałabym sobie uciąć prawą rękę, żeby jej ulżyć.

W dzień urodzin księżnej znowu mieliśmy chwilę trwogi. Zewsząd dostała mnóstwo podarunków, otóż między przesyłkami było wielkie pudło z Włoch. Lokaj książęcy z wystraszoną miną przyniósł mi je do pokoju szkolnego.

— Dlaczego przynosisz mi je, kiedy jest adresowane do Jej Księżęcej Wysokości?—zapytałam.

Służący przeproszał mię, usprawiedliwiając się, że obiecał przedtem zasięgnąć mojej rady, gdyż przesyłka wydała mu się podejrzana.

— Nie mam rozkazów co do zagranicznych przesyłek dla Jej Księżęcej Wysokości—rzekł.

Po namyśle kazałam mu postawić pudło na wielkim stole i uprzedzić o tem księżnę.

Za chwilę zjawiła się w pokoju szkolnym.

— Słyszę, że przyszło dla mnie pudło z markami włoskimi — rzekła — nie mam pojęcia, ktoby mógł przysłać mi z Włoch upominek. Czy jest na przesyłce tutejszy stempel pocztowy?

Co prawda nie śmiałam dotąd zbliżyć się do podejrzanego pudła; obawy mego otoczenia i mnie się udzieliły. Zawstydziałam się jednak mego techórzostwa i śmiało zbliżyłam się do stołu. Na nieszczęście stempel pocztowy był tak zatarty, że nie mogłam go odczytać.

— Trzeba zadzwonić na służącego, żeby przyszedł ostrożnie otworzyć pudło — rzekła księżna coraz więcej strwożona.

Zauważyłam, że stoi jak najdalej od stołu.

— Jeżeli Wasza Księżęca Wysokość upoważnia mnie do tego, sama je otworzę — oświadczyłam — wcale się nie boję.

Była to bezczelna przechwałka z mojej strony, w istocie bowiem czułam wielką trwogę, chciałam jednak dowieść tej cudzoziemce, że Angielkom nie zbywa na odwadze.

Księżna powinszowała mi dzielności, zalecając największą ostrożność przy otwieraniu nienebezpiecznego pudła.

— To bywa czasem tak urządzone, że odbędzie podróż bez szwanku, a wybuchnie przy zdejmowaniu wieka — dodała — słyszałam o podobnych przyrządach.

Zgadłam odrazu, od kogo o tem słyszała, wiedziałam bowiem, że mąż jej miał największą przyjemność w opowiadaniu jej najokropniejszych rzeczy nawet w obecności dzieci, które bawiły się nieraz w „bomby“. Ani groźbą, ani karą nie można było powstrzymać ich od tego.

Obiecałam księżnie, że będę bardzo ostrożna i prosiłam, żeby wyszła z pokoju. Nie zgodziła się na to, ale kiedy wzięłam nożyce, żeby przeciąć sznurek,

którym pudło było owiązane, bezwiednie cofnęła się do drzwi, gotowa uciec w każdej chwili, żeby nie paść ofiarą maszyny piekielnej.

Pudło szerokie na łokieć, długie na dwa, było owinięte w gruby papier niebieski i miało pieczęcie z czarnego laku bez liter i herbów; przymocowano niemi granatowy sznurek, którym je owiązano. Śmiało przecięłam sznurek i odwinęłam papier, wewnątrz mieściło się pudełko z białego drzewa. Widok jego potwierdził nasze obawy.

Mimoto odważyłam się przeciąć drugi sznurek i ostrożnie wzięłam się do zdejmowania wieka szczególnie dopasowanego. Serce zabiło mi żywiej, a księżna mimowoli krzyknęła. Nic jednak nie wybuchnęło...

Wreszcie odsunęłam bibułę i zobaczyłam, że maszyna piekielna — jeżeli była — musiała być ukryta pod przepysznymi różami „la France“, za którymi księżna przepadała. Na różach leżała koperta, którą podajam księżnie,

Rozerwała ją i zaśmiała się wesoło. Ta straszna przesyłka była podarkiem od księcia Bülowa! Był kanclerz przypomniał sobie, że Jej Wysokość nad wszystkie kwiaty przekłada róże „la France“, o których mówiła mu pewnego letniego wieczoru, ośmiela się więc przesłać jej najpiękniejsze okazy ze swoich sławnych ogrodów willi Malta w Rzymie.

Radość księżny była tem większa, że poprzedziła ją trwoga. Raczyla podarować mi różę w nagrodę za moją odwagę, czem sprawiła mi wielką przyjemność; poznałam księcia Bülowa w ów wieczór letni, o którym wspominał i uważam go za najmilszego ze wszystkich Niemców. Długo opowiadał mi o swoim rzym-

skim ogrodzie, tak pięknym, że stanowi dla niego pociechę w zawodach i niepowodzeniach. Kiedy powtarzałam to księżnie, powiedziała mi, że ile razy księżę Bülow chce uniknąć drażliwego przedmiotu, zwraca rozmowę na róże.

— Istny z niego czarodziej — dodała — potrafi on wmówić we wszystkich, nawet w cesarza, że niema na świecie nic ważniejszego nad róże.

Od kogo innego dowiedziałam się, że róże musiały pocieszać księcia Bülowa w nader ciężkich zawodach i troskach. Patrząc na niego, niktby tego nie odgadł, nie widziałam bowiem człowieka napozór tak zadowolonego z życia, jak ten mąż stanu o pięknej postawie, zawsze uśmiechnięty, z zabawnym dołeczkiem w podbródku.

Opowiadanie hrabiny o szpiegowskiej roli księcia w Indjach i o jego wpływach w cesarskiem biurze wywiadowczem nasunęły mi do głowy myśli, których nigdy przedtem nie miałam. Zaczęłam wszędzie upatrywać szpiegów i podejrywać, że każda podróż księstwa ma cel ukryty. Nigdy jednak nie przypuszczałam, żeby pospolity, miodowy pan Steinhauer brał także w tem udział. Dziś jeszcze trudno mi uwierzyć, że był mistrzem w szpiegostwie, uprawianem w Anglii dla Niemiec; wojna dopiero odsłoniła zadziwiającą jego działalność w tym kierunku. Miałam sama sposobność przekonać się o tem.

W kwietniu r. 1913 odebrałam list od pani Niemann, która zapytywała się, czy jeszcze ją pamiętam. Wróciła właśnie do Niemiec po całorocznym pobycie

zagranicą i stanęła w Hotel Central w Berlinie. Pisała mi, że zawadziła w podróży o Anglię dla zobaczenia córki i byłaby szczęśliwa, gdyby mogła osobiście udzielić mi wiadomości „o swojej ukochanej Elzie“. Zapraszała mię do siebie, obiecując pokazać mi bardzo ciekawe fotografie, przywiezione z podróży.

Życie, które wówczas prowadziłam, było zupełnie pozbawione rozrywek. Cały dzień prawie byłam zamknięta w domu i jedynie plotki opowiadane przez hrabinę, osobiście mało dla mnie zajmujące, urozmaicały niekiedy jednostajność istnienia. Ilekroć zatem przychodziło dla mnie jakie zaproszenie, przyjmowałam je skwapliwie, choćby nawet nie było bardzo pociągające. Pani Niemann wcale mi się nie podobała, mimoto postanowiłam pójść do niej, żeby dowiedzieć się czego o Elzie, która tak zżyła się z nami, jak gdyby należała do rodziny.

Pani Niemann nie zmieniła się wcale przez te dwa lata, tylko ubiór jej odznaczał się lepszym smakiem i prawdziwą elegancją. Miała własny salonik w jednym z najdroższych hoteli berlińskich i tam przyjęła mnie z wielką serdecznością. Pijąc kawę, gawędziłyśmy o Elzie. Podróżowała wiele z rodzicami swoich uczennic i skutkiem tego nie mogła być u moich wujostwa, zawsze jednak wspominała ich z wdzięcznością i szacunkiem. Spędziwszy zimę we Włoszech, lato zaś w Ameryce, wróciła teraz do Anglii i miała nadzieję zobaczyć mię tam w maju, żeby przedstawić mi swego narzeczonego, byłego porucznika pruskiego, który „dla interesów“ osiadł w Bristolu.

— Ale skąd Elza wie, że ja będę miała wakacje

w maju?—zapytałam, kiedy wyczerpałyśmy już kwestję zaręczyn—pisuje więc do mojej ciotki?

To pytanie wprowadziło w kłopot panią Niemann, odpowiedziała mi jednak po chwili, że córka jej mogła dowiedzieć się o tem przez wspólnych znajomych, albo też oparła to na przypuszczeniu. Istotnie, w następnym tygodniu miałam wyjechać do Anglii, a kiedy powiedziałam to pani Niemann, prosiła mię o zawieszenie od niej podarku dla Elzy i małej pamiątki dla mojej ciotki, która była dla niej tak dobra. Zapewne wuj będzie także chciał posłać Elzie jaki upominek, który nie zabierze jednak wiele miejsca, pani Niemann wymogła więc na mnie obietnicę, że w przyszłym tygodniu przyjdę znowu na podwieczorek.

Po kawie zaczęła pokazywać mi fotografie w dwóch ogromnych albumach; dowodziły one, że matka Elzy dużo w ostatnich czasach podróżowała. W pierwszym albumie znajdowały się fotografie z przed roku 1910: jedne przedstawiały cesarza w Brukseli, kiedy po śmierci króla Leopolda, przyjechał powitać nowego monarchę; na innych zobaczyłam widoki z willi Malta w Rzymie, co mię bardzo zdziwiło. Księżna zapewniała, że były kanclerz przyjmuje tam jedynie najbliższych przyjaciół, znając go zaś, nie mogłam posądzić go o żały stosunki z panią Niemann. A jednak najmniej pół tuzina fotografii przedstawiało wnętrze willi i sławne jej ogrody.

Dalej były zdjęcia z podróży księcia następcy do Indji. Na jednym z nich stał przed marmurowym pałacem między dwoma panami ubranymi po europejsku, ale w fezach na głowie. Pani Niemann objaśniła mię, że jeden z nich to kedyw egipski, drugi zaś to brat

jego księżę Mohammed Ali. Mniemano, że nie było go wtedy w Egipcie, tymczasem wrócił potajemnie, żeby widzieć się z Jego Cesarską Wysokością, Pani Niemann powiedziała mi, że ta fotografia ma pewną wartość, gdyż została odbita tylko w pięciu egzemplarzach: trzy dla każdego z książąt, jeden w jej albumie, ostatni zaś dla pana Steinhauera, który miał zaszczyt robić to błyskawiczne zdjęcie.

— Brat pani towarzyszył księciu następcy w tej podróży? — zapytałam, nie dziwiąc się zbytnio temu, gdyż przypomniałam sobie, że był jednym „z przyjaciół“ księcia.

— Oh! mój brat przebywał wtedy w Egipcie w charakterze *nieurzędowym*—odpowiedziała.

Mówiła o panu Steinhauerze z dumą, która dała mi do myślenia; mimowoli nasunęły mi się różne wątpliwości. Dziś jestem prawie pewna, że pani Niemann nie była siostrą sławnego szpiega, lecz jego żoną, „urzędową“ czy nie.

W tym samym albumie widziałam błyskawiczne zdjęcia ministrów angielskich na tle krajobrazów Riwiery: sir Edwarda Grey, p. Winston Churchill, p. Lloyd George. Pod fotografią tego ostatniego na tarasie willi był przyklejony wycinek z gazety angielskiej, oskarżający ministra skarbu o szalone zbytki na Jasnym Brzegu.

— Niech pani sobie wyobrazi, że ten artykuł został stąd posłany do Londynu i dziennik angielski umieścił go bez wahania! — rzekła pani Niemann — to niepojęte, prawda?

Były również fotografie robione w Londynie, przedstawiające naprzykład królewską rodzinę angielską w to-

warzystwie cesarza i cesarzowej podczas odsłonięcia pomnika królowej Wiktorji. Pan Steinhauer je zdejmował, należał bowiem, jak mi powiedziała z dumą pani Niemann, do cesarskiego orszaku. Ona także była na tych uroczystościach w r. 1911 i dzięki wysokim stosunkom mogła widzieć zblizka wszystkie ceremonje.

Drugi album do połowy tylko był zapełniony, zawierał jednak ciekawe podobizny księcia Walji w Paryżu i prezydenta Poincaré w Londynie. Na jednej karcie była fotografia, której z początku pani Niemann nie chciała mi pokazać. W końcu jednak zdecydowała się.

— Ostatecznie, dlaczego pani nie miałaby jej zobaczyć?—rzekła—tylko musi pani zgadnąć, kto to jest?

Fotografia przedstawiała mężczyznę ubranego po cywilnemu w garnitur angielski i w cylinder; szeroki szalik otaczał mu szyję, najwybitniejszym jednak rysem były sumiaste wąsy opuszczone na dół. Nad jego głową jakiś uśmiechnięty mężczyzna trzymał otwarty parasol. W głębi widać było Łuk Gwiazdy, dowód że fotografia pochodziła z Paryża.

— To chyba cesarz, tylko z wąsami opuszczone mi na dół dla niepoznaki!—zawołałam—ale nie, to niepodobna!

— Owszem, to on!—zaśmiała się pani Niemann—Jego Cesarska Mość nieraz był w Paryżu. Dlaczego nie miałby się zabawić, zachowując naturalnie ściśle *incognito*?

Fotografie „mobilizacji“ w Belfast w Irlandji dopełniały zbioru. Pani Niemann sama dokonała zdjęć podczas „bardzo przyjemnej wycieczki do Irlandji“.

Zapytała mię o zdanie w pałacej kwestji *Home-Rule*, a kiedy odpowiedziałam, że skutkiem pobytu w Niemczech nie mogę śledzić polityki angielskiej, oświadczyła mi, że mało Anglików troszczy się o ważne wypadki w Irlandji.

— Zobaczysz pani, że tam wybuchnie rewolucja! — zapewniła mię kategorycznym tonem, do którego już przyzwyczaiłam się w Niemczech — spotkałam bardzo inteligentnych Irlandczyków, którzy mówili mi, że chętnie wezwaliby pomocy Niemiec dla uwolnienia się od panowania angielskiego.

W następną środę, przyszedłszy do hotelu, zastałam już u pani Niemann pana Steinhauera, który wręczył mi pakiecik dla Elzy, przepaszając mię stokrotnie za kłopot i dziękując za moją uprzejmość. Prosił o pozostawienie paczki u mojej ciotki, gdyż Elza nie miała w tej chwili stałego adresu. Jeżeli tylko będzie mogła, przyjedzie do Portsmouth, pragnie bowiem przedstawić nam swego narzeczonego, który stara się właśnie o obywatelstwo angielskie; tym sposobem Elza wychodząc za mąż, stanie się poddaną W. Brytanji.

Po podwieczorku, kiedy miałam się już pożegnać, pan Steinhauer nagle jak gdyby sobie coś przypomniał zapytał:

— Czy pani nie zna czasem w Anglji pana Trevelyanana? — zapytał.

Zdziwiłam się bardzo, zkąd ten człowiek mógł wiedzieć o moich stosunkach z panem Trevelyanem? Chyba przez Elzę, albo przez hrabinę, której wspominałam o starej przyjaźni, łączącej moją rodzinę z panem Trevelyanem.

Odpowiedziałam, że istotnie mam w Anglii przyjaciela tego nazwiska.

— Zapewne jest jednym z dyrektorów zakładów Armstronga?—pytał pan Steinhauer.

— Wcale nie.

— To może jego krewnym?

Zapewniłam go, że nie wiem o żadnym Trevelyanie, któryby pracował u Armstrongów. Widząc wyraz zawodu na jego twarzy, zapytałam, dlaczego zagadnął mnie o to. Odrzekł zupełnie swobodnie, że pragnął wyrobić w jednym z wielkich zakładów angielskich miejsce dla swego krewnego, bardzo zdolnego inżyniera.

Podczas mego pobytu w Portsmouth r. 1913 Elza nie dała znaku życia. Dopiero po powrocie do Niemiec ciotka doniosła mi o jej bytności wraz z narzeczonym. Co się tyczy pani Niemann i pana Steinhauera, nic o nich nie słyszałam aż do chwili, kiedy się dowiedziałam, jakim rzemiosłem trudnił się mniemany wuj mojej przyjaciółki. Historia Elzy tak się skończyła:

Nazajutrz po wypowiedzeniu wojny Niemcom, Elza zjawiła się nagle u mego wuja z prośbą, żeby jej dopomógł do zyskania obywatelstwa angielskiego. Powiedziała, że straciła miejsce nauczycielki, ponieważ jest Niemką, narzeczony zaś nie może po nią przyjechać, wojna bowiem zaskoczyła go w Niemczech.

Wuj przyrzekł jej dopomódz. Wielkie było oburzenie wujostwa, kiedy po odjeździe Elzy zjawiła się policja, żeby przeszukać jej kufer, pozostawiony w ich domu, ale można sobie wyobrazić osłupienie ich i zgro-

zę, kiedy w kufrze policja znalazła plany fortów angielskich, wiadomości o aeroplanach i papiery, dowodzące, że od półtora roku mniemana narzeczona była żoną oficera armji niemieckiej! Zbytecznem byłoby mówić, że jeszcze przed niedyskretną wizytą policji angielskiej, niewinna Elza zdążyła połączyć się z „narzeczonym“ poza granicami W. Brytanji.

ROZDZIAŁ X.

Znakomici goście: hrabia Zeppelin, generał von Kluck i t. d.

Przez tę historję szpiegowską wyprzedziłam trochę bieg wypadków, rzeczywiście jednak w ciągu roku 1912 nic nie zaszło ważnego w mojem życiu. Poznałam tylko kilka znakomitych osób.

Raz w Berlinie odwiedził nas hrabia Zeppelin. Woził właśnie następcą tronu i kilku wybranych swoim sterowcem ostatniego typu. Księżę zachwycony był tą wycieczką i pragnął, żeby najstarszy jego syn także wzniósł się w powietrze, ale księżna nie chciała słyszeć o tem, hrabia zaś zupełnie podzielał jej zdanie. Mówił, że nie zna stopnia wytrzymałości nerwów małych książąt, nie odważyłby się więc narażać ich na tak niebezpieczną próbę. Przypuszczał jednak, że znieśli ją bez szkody.

Kiedy mali książęta z kolei zaczęli błagać go, żeby przewiózł ich sterowcem, oświadczył im, że jeszcze przez kilka lat muszą poprzestać na „grze wojennej“, a potem wypytywał porucznika X. o ich postępy. Jeżeli mówił o rzeczach zwyczajnych, oblicze jego o siwych włosach, przez które przeświecała łysina, miało wyraz dobroduszny; z przyprawioną brodą wyglądałby

na Św. Mikołaja. Ale kiedy słuchał odpowiedzi porucznika, rysy jego twarzenia, nabierając surowego niemal srogiego wyrazu, oczy zaś iskrzyły się z pod kraczy-
stych brwi jak u dzikiego zwierza,

Wziąwszy starszego księcia na kolana, zaczął wy-
pytywać go o zasady gry. Chłopiec z początku onie-
śmielony, stopniowo nabrał pewności i odpowiadał
żwawo, zupełnie po wojskowemu.

— Ależ ten mały jest urodzonym żołnierzem! —
zawołał stary wynalazca, kładąc rękę na głowie dziec-
cka — niedługo będzie mógł prowadzić bitwy nadpo-
wietrzne, a wtedy ofiarujemy mu coś olbrzymiego.
Tymczasem, z wolą Bożą potrafimy skorzystać z tego
co już posiadamy.

Kiedyś popołudniu poproszono mię, żebym po-
mogła przyjmować i zabawiać kilku redaktorów dzien-
ników angielskich, którzy przyjechali do Niemiec, żeby
głosić myśl powszechnego pokoju. Jeden z nich był
socjalistą, a chociaż w naszym środowisku wojskowym
nigdy inaczej nie nazywano krajowych socjalistów, jak
„te bydłeta“, albo „ci nędznicy“, niemniej hrabina pro-
siła mię, żebym była „uprzejma“ dla zagranicznych
okazów tego gatunku.

— Niech pani będzie dla nich tak miła, jak ce-
sarz dla Johna Burns — rzekła hrabina zwykłym tonem,
na poły poważnym, na poły żartobliwym — jesteśmy
w tej chwili pokojowo nastroszeni.

— Ale cesarz bardzo lubi Johna Burns — oświad-
czyłam.

— Otóż to są wiadomości pani! — zawołała hrabina — cesarz niewątpliwie jest cudownym człowiekiem, ale nie lubi tych, którzy ganią go. Otóż pewnego dnia ten wasz Burns ośmielił się powiedzieć mu w oczy, że armja niemiecka nie jest tem, czem była niegdyś. Wiem o tem z pewnością, gdyż cesarz powtórzył jego słowa jednemu z generałów, zganionych przez Burnsa. Było to na manewrach i cesarz udał się, że nie przywiązuje żadnej wagi do tego zdania. Tymczasem była to rzecz, której nie mógł zapomnieć, rana zadana jego pysze, słyszałam też, jak mówił o Johnie Burns: „Niech diabli porwą tę szarańczę angielską!“

Co do mnie, cieszyłam się wtedy, że deputacje dziennikarzy przyjeżdżały z różnych krajów, żeby zaprzyjaźnić się z Niemcami i po powrocie do swojej ojczyzny wychwalać działalność i pokojowe uczucia swoich gospodarzy, jak to uczynił sir Artur Conan Doyle. Dopiero w ostatnim roku mego pobytu zaczęłam inaczej zapatrywać się na to i doszłam do przekonania, że ci dziennikarze, oraz wszyscy marzyciele o pokoju powszechnym dali się wyprowadzić w pole przez rzekomych przyjaciół, którzy drwili z nich później za ich plecami.

Przypominam sobie jednak dyplomatę z południowej Ameryki niezmiernie inteligentnego człowieka, który nie dał się wziąć na lep obłudnych słówek. To co słyszałam od niego, było bardzo dziwne, szczególnie dziś, w świetle późniejszych wypadków. Bardzo bogaty, na pozór łagodny, ale z dużą domieszką gorczy, poznał się w Engadinie z pewną niemiecką parą książęcą, spokrewnioną z naszym księciem. Oni zaprosili go do Berlina i przywieźli raz do naszych księstwa

na śniadanie. Milionerowi towarzyszyła córka, urocza młoda panna.

Miałam właśnie wyjść z moimi uczniami na przechadzkę, kiedy całe towarzystwo przyszło zobaczyć dzieci. Piękność Brazylijanki nawet na nie wywarła silne wrażenie; zaczęły opowiadać jej o swoich ulubionych grach, między którymi pierwsze miejsce zajmowały „zeppelin”. Z bezwiednym okrucieństwem chłopcy przechwalali się ze zniszczenia największych i najpiękniejszych gmachów w stolicach nieprzyjacielskich.

Mam nadzieję, że nie przyjedziecie burzyć Rio-de-Janeiro? — dźwięcznym głosem zapytała prześliczna Brazylijanka, udając wielki przestach.

— Nie, jeżeli p a n i tam mieszka — z galanterją odrzekł starszy książe.

Zacząłam się śmiać, dumna z trafnej odpowiedzi mego ucznia, ale wtem napotkałam utkwione we mnie wejrzenie ojca młodej panny: wytworne i smutne jego oblicze dziwny miało wyraz. Zostałam mu przedstawiona przez księżnę, która nie omieszkała wspomnieć o moim znakomitym dziadku. Według wyrażenia hrabiny, „wyjeżdżał on zawsze na stół”, ilekroć na widnokręgu zjawiali się goście z Ameryki, lub Niemcy anglożercy.

— Ten mały szatan uczyniłby to z pewnością, gdyby tylko zdarzyła się sposobność — mruknął przez zęby brazylijski miljoner.

Nie wiedziałam, czy te słowa były zwrócone do mnie, ale on sam rozproszył moje wątpliwości, pytając wprost:

— Czy pani nie jest tego zdania?

Odrzekłam, że nie rozumiem: co chce przez to powiedzieć.

— Sądzę, że jeżeli pozwoli się książętom niemieckim wielkim i małym przerabiać podług ich woli mapę Europy, to w końcu przyjdą ze swemi zeppelinami przerabiać także mapę Ameryki. Oddawna przeczuwałem to niebezpieczeństwo, ale przyjechawszy tutaj, widzę, że zupełnie jasno. Ci książęta są zresztą bardzo mili — w swoim kraju, który niestety już im nie wystarczał Ładnej gry ucą swoje dzieci! To powinno dać do myślenia nam, którzy nie mieliśmy szczęścia urodzić się Niemcami.

Moi uczniowie najwięcej jednak lubili bawić się w żołnierzy ołowianych; mieli ich naturalnie mnóstwo, niedawno zaś młodzi oficerowie ofiarowali im całe wojsko, z którego byli uszczęśliwieni.

Mieściło się ono w wielkiej skrzynce w kształcie komody, zawierającej sześć szuflad wybitych zielonym suknem. Wszystkie szuflady były pełne ołowianych żołnierzy, ślicznie odrobionych i pomalowanych podług wzorów wziętych z najpiękniejszych pułków Niemiec, Austro-Węgier, Francji, Włoch, Rosji i Anglii. Nie brakowało ani inżynierji, ani artylerji, nie mówiąc już o konnicy i piechocie. Książęta woleli swoich żołnierzy, niż zeppelinów, a porucznik von X. także lubił bawić się z nimi, wykładając im przy tej sposobności zasady strategji. Rozpoczęta „bitwa“ leżała nieraz przez dwa albo trzy dni w kącie „sali zabaw“, zupełnie jak przerwana partja szachów i biada „idjotycznemu“ słu-

żacemu, który przez nieuwagę poruszyłby z miejsca jednego żołnierza, zanim los walczących państw został rozstrzygnięty!

Zabawa zwykle polegała na przeciwstawieniu wojsk trójprzymierza armjom całego świata. Z początku mieli tylko wojska sześciu mocarstw, ale później na ich prośbę popartą, przez porucznika von X, księżę kupił im żołnierzy tureckich, oraz armje różnych państw bałkańskich, które wówczas bohaterскими walkami zdobywały sobie powszechną sławę. Te wojska były jednak mniej cenione, niż tamte podarowane przez oficerów; kupione tanio, nie odznaczały się tak doskonałym wykonaniem. Mali wodzowie przyłączyli niekiedy Turków do Trójprzymierza, albo wysyłali ich przeciw Włochom, jeżeli postanowiono, że „Włochy zdradzą swoich sprzymierzeńców“.

Niemcy i Austria zawsze zwyciężały, jakkolwiek obrót wzięłaby wojna, często jednakże geniusz i nadludzkie męstwo Niemców ratowały Austrię od klęski. Czasami księżę w towarzystwie kilku oficerów przychodził przypatrzeć się tym walkom; zdarzało się to wówczas, kiedy von X. oznajmiał mu, że „coś dobrego się szykuje“, albo zapowiadał, że starszy księżę odznacza się jako strategik, albo porucznik będąc w kłopotcie, potrzebował światłej rady. Ile razy w sali zabaw ukazywała się cienka postać księcia, otoczona kilku oficerami o sławnych nazwiskach, albo rojem młodych ułanów w świetnych mundurach, kryłam się w najciemniejszy kącik, rada, jeżeli zapomniano o mojem istnieniu. Bawiłam się jednak doskonale, śledząc miny tych sztywnych oficerów w ogromnych wykrochmalonych kołnierzach; udawali wesołość, albo też hałaśliwie

sprzeciali się z sobą w różnych kwestjach strategicznych.

Oburzał mię zawsze u tych znakomitych doradców zupełny brak skrupułów, zasad uczciwości i honoru. Nieraz kazali wysuwać naprzód ludzi z białemi chorągwiami na znak, że się poddają; tymczasem był to podstęp; gdyż za tymi żołnierzami stały ukryte armaty. Jeżeli oficerowie niemieccy dostali się do niewoli — chłopcy nigdy nie mogli się z tem pogodzić i zawsze mówili: „Przypuśćmy, że to Austriacy“—przy pierwszej sposobności uchodzili, bez względu na dane słowo honoru, że nie uciekną. Raz, będąc sama z dziećmi, zaczęłam potępiać takie nieuczciwe sposoby walki, ale moje dowodzenia bynajmniej nie przekonały małych ksiąząt.

— Pani jest tylko kobietą! — mówili — nie może więc znać się na tem. Tatuś i porucznik powiadają, że pani nic do wojny.

Śród znakomitych wojskowych, którzy przychodzili odwiedzać moich uczniów, pamiętam generała von Kluck. Była to także jedna z tych „kopulastych“ głów, które zajmują pierwsze miejsce w hierarchji cywilnej i wojskowej. Ten kształt głowy był dla mnie najciekawszą rzeczą z całej osoby generała i wydał mi się wiele wyższy od zwykłego typu czaszki oficerów niemieckich, dziwnie szczupłej, jak gdyby kości jej stwardniały, zanim mózg dosięgnął zupełnego rozwoju. Generał von Kluck nigdy nie raczył przemówić do mnie, nie zajmował się też wojną prowadzoną przez oławianych żołnierzy. Zdawało się, że ciągle jest zapatrzony w dal.

Słyszałam raz, jak powiedział, że „żądata“ od niego koniecznie, aby pojechał do Francji. Nie rozumiałam wtedy, kto tego żądał i jaki miał być cel podróży. W rok później, mali księżęta dostali pocztą wspaniałe pudło czekoladek obite czerwonym aksamitem. Sama księżna przyniosła nam je do szkolnego pokoju. (Nie było prawie dnia, żeby mi nie przerywano lekcji pod jakimkolwiek pozorem). Opakowanie pudła było już zdjęte, nie wiedziano więc, skąd pochodzi ten podarunek. Księżna znalazła wreszcie wewnątrz bilet wizytowy generała von Kluck, który napisał na nim co następuje: „Czekoladki francuskie wysłane z Francji dla dwóch dzielnych żołnierzyków niemieckich“.

Wieczorem, książę wróciwszy do pałacu, chciał zobaczyć pudło, więcej niż do połowy wypróżnione. Spojrzał na bilet i zaśmiał się. „Ten stary jest bezczelny!“ — mruknął. Dopiero po moim powrocie do Anglii zrozumiałam znaczenie tych słów: pewien Francuz powiedział mi, jakoby generał von Kluck przed wojną przebywał we Francji *incognito* dla zbadania kopalni w okolicach Soissons; Niemcy zakupili je i urządzili je w ten sposób, żeby w razie potrzeby mogły im służyć za okopy.

Jedna rzecz szczególniej mię uderzyła na początku r. 1913: oto każdy niemiecki książę odwiedzający wtedy rodziców moich uczniów, wspominał żartobliwie lub poważnie, „o wróżbie mogunckiej“. Niektórzy dostojni goście, złożywszy sobie życzenia noworoczne, pytali się ze śmiechem:

— Czy to istotnie nasz ostatni rok?

— Może ostatni rok pokoju — odrzekł książę następcą, kiedy matka moich uczniów zadała mu to pytanie.

Księżna wytłómaczyła mi później, że nie należy brać tych słów za wyraz wojowniczych uczuć ze strony księcia następcy.

— Urodził się na to, żeby się bić — dodała — i podobnie jak każdy żołnierz, pragnie wojny, żeby się odznaczyć, ale niech pani nie sądzi, że jest wrogo usposobiony względem jakiego kraju.

Księżna mówiła szczerze, ale może sama się oszukiwała. Zestawiwszy to co słyszałam z tem co mówiła hrabina, nie mogłam się łudzić co do prawdziwych uczuć księcia względem sąsiadów: przy każdej sposobności wprost odgrażał się przeciw zawistnym narodom, które „sprzeciwiały się swobodnemu rozprzestrzenianiu się Niemiec“.

Wracając do „wróżby mogunckiej“, wszyscy wiedzieli, że od wielu lat królewska rodzina pruska przywiązuje do niej wielką wagę. Nieboszczka cesarzowa Fryderykowa mówiła matce hrabiny, że wbrew swojej woli musiała uwierzyć w jej spełnienie się do końca.

Opowiadano, że dziadek obecnego cesarza w r. 1848 podczas rewolucji schronił się nad Ren i spotkał tam cyganek, która nie znając go, nazwała go „Cesarzką Mością“ i na zasadzie kombinacji liczb przepowiedziała młodemu wygnańcowi kiedy zostanie cesarzem, rok śmierci i koniec nowego cesarstwa. Upadek jego miał nastąpić w r. 1913.

Jeszcze w przeddzień śmierci cesarzowa Fryderykowa rozmawiała o tem z matką hrabiny.

— Miejmy nadzieję, że to oznacza tylko zmianę obecnego ustroju cesarstwa, albo jego rozwój. Lękam się jednak bardzo — dodawała ciszej — żeby *ktos* gwałtem nie wywołał końca...

Hrabina ze zwykłą swoją szczerością zwierzyła mi się ze swego przekonania: cesarz starał się utrzymać pokój, dopóki nie przejdzie ten złowróźbny rok 1913. Jeżeli przepowiednia się nie spełni, wówczas będzie miał rozwiązane ręce i skorzysta z cennej pomocy swoich przyjaciół Kruppów.

Na Boże Narodzenie r. 1913, starszy książę, już wyzwolony z pod mojej opieki, dostał od generała von Bernhardi egzemplarz jego książki *Niemcy i przyszła wojna* ze wspianą własnoręczną dedykacją. Chłopiec przeraził się na myśl przeczytania książki tak „trudnej“ i prosił mię o wskazanie najciekawszych rozdziałów. Dzięki temu miałam sposobność przeczytać to sławne dzieło, które sprawiło na mnie wrażenie groźby dla całego świata. Ta straszna książka rzuciła nowe światło na wszystko, „co dotąd widziałam i słyszałam, w Niemczech. Zaczęłam zastanawiać się, czy obowiązek względem mego kraju nie nakazuje mi zawiadomić rządu angielskiego o tem, czego dowiedziałam się przypadkiem.

Gdybym znała kogo z naszego poselstwa, byłabym zapytała go o zdanie, ale raz tylko spotkałam go posła angielskiego, sir Edwarda Goschen na jakimś wieczorze.

Miałam na tydzień jedno tylko wolne popołudnie, nie mogłam więc zawiązać bliższych stosun-

ków, ani przyjmować zaproszeń. Ostatecznie, znałam w Niemczech samych jedynie Niemców. W każdym razie, przeczytawszy książkę generała von Bernhardi, postanowiłam szeroko otwierać oczy i uszy, nie przez ciekawość, ale przez uczucie patriotyzmu. Nie miałam zamiaru zdradzać moich chlebodawców, ale przypomniałam sobie, że za pośrednictwem księcia poznałam pana Steinhauera, który chciał postąpić ze mną nieuczciwie. Skutkiem tego wspomnienia moje sumienie stało się elastyczniejsze i odtąd zwracałam pilną uwagę na wszystko co się wkoło mnie działo.

ROZDZIAŁ XI.

Inni pamiętni goście: p. Delbrück, general von Hindenburg, Enver-bej.

Po przeczytaniu książki generała von Bernhardi zaczęłam surowiej sądzić przedstawicieli niemieckiej kasty wojskowej—ludzi pierwszej klasy—jak się sami nazywali. Dotychczas to co czynili i mówili, rozśmieszało mnie tylko; teraz zrozumiałam, że szczere ich słowa, „o potrzebie rozprzestrzenia obszarów Niemiec“ nie były próżną przechwałką, szumną gadaniną narodu, którego pycha nie ma równej w świecie, lecz oddźwiękiem postanowienia silnie zakorzenionego w ich duszy. Nie dziś, to jutro zechcą wydrzeć sąsiednim państwom ziemie, które uważają za niezbędne dla siebie. Odtąd zaczęłam badać wszystkie znakomitsze osoby, które spotykałam i wyciągać je na zwierzenia. Dawniej czyniłam to dla zabawy, teraz pragnęłam zgłębić ich myśli i dowiedzieć się, jakimi sposobami zamierzają cel swój osiągnąć.

Była to rzecz o wiele łatwiejsza w Berlinie, niż w Anglii, albo w Ameryce, gdzie mężczyźni nie są tak próżni i zarozumiali, nie wygłaszają swoich zdań na wzór wyroczeni i nie uważają kobiet za istoty niedolne ich zrozumieć. Umyślnie udawałam głupią, wie-

dząc, że ci wszyscy panowie z góry mieli takie o mnie przekonanie; dzięki temu mogłam uspić ich nieufność, utwierdzić w nich poczucie własnej wyższości i skłonić do wyjaśnienia swoich poglądów na polityczną przyszłość Europy.

Ofiarą moją bywał najczęściej porucznik, najłatwiej bowiem można było go otumanić. Po nieudanej próbie flirtu w zamku nad Renem, trzymał się na uboczu i miał minę człowieka śmiertelnie obrażonego. W niespełna rok później zakochał się w ślicznej śpiwacze operetkowej i nie mając komu zwierzyć się ze swoich trosk miłosnych, zaczął nieśmiało ubiegać się o moją przyjaźń.

W Potsdamie był wtedy modny *football*; porucznik grywał w niego i na ten temat rozpoczął rozmowę. Trochę mię to zaniepokoiło, lękałam się bowiem powtórzenia dawnej historii. Odgadł widocznie moją obawę i chcąc mię uspokoić, oświadczył, że odtąd nie potrzebuję lękać się niczego. Kochał się na zabój w aktorce, dobrej i uroczej istocie, ale czuł się bardzo nieszczęśliwy, gdyż nie mógł się z nią żenić bez zwinięcia swojej kariery. Jestem pewna, że ani na chwilę nie myślał o takiej ofierze, lubił jednak rozwodzić się nad tą hipotezą, niemożliwą do urzeczywistnienia, musiałby bowiem wystąpić z armji.

Zapytał mię, co uczyniłby w takim wypadku oficer angielski i zdumiał się, kiedy mu powiedziałam, że u nas oficer mógłby ożenić się bez szkody dla swojej kariery, byle tylko aktorka była kobietą uczciwą. Ale chociaż zwyczaj niemiecki osobiście rozdzierał mu serce, wolał go jednak, niż angielski, gdyż dzięki tej

surowości armja łatwiej mogła zachować cechę kasty wyższej, ściśle „zamkniętej“.

Dzięki śpiewaczce zawiązały się między nami przyjazne stosunki; pokazywał mi nawet jej listy i fotografie. Zerwała z nim niedługo, gdyż sprzykrzyła jej się jego chwiejność: ciągle obiecywał się żenić, a potem cofał się.

W r. 1913 został głównym nauczycielem starszego księcia, młodszy zaś był także więcej pod jego władzą. Trzeci chłopiec, który w chwili objęcia moich obowiązków, był chorowitem niemowlęciem, przeszedł wyłącznie pod moją opiekę.

Przeczytawszy książkę generała von Bernhardi, zaczęłam badać porucznika, w jaki sposób armja niemiecka wyobraża sobie przyszłość Niemiec. Porucznik, o ile mi się zdaje, nigdy nie zastanawiał się nad tem, dla czego zadaję mu takie pytania; uważał mnie nieledwie za osobę należącą stale do składu rodziny, ja zaś, nie uciekając się do kłamstwa, wpoiliam w niego przekonanie, że uznaję bezsporną wyższość Niemiec nad całym światem.

Dowiedziałam się od niego, że zarówno armja jak marynarka gorąco pragną nadejścia „wielkiego dnia“. Był przeświadczony, że Niemcy „będą miały Francję na jeden kasek“, a ponieważ są pod każdym względem wyższe od Rosji, w wojnie z tem państwem muszą je zwyciężyć nawet bez pomocy Austrii. Gardził zresztą wszystkim co austriackie, ale przyznawał, że Austrija „może nam się przydać“. Co się tyczy Anglii, będzie to twardy orzech do zgryzienia, „damy jej jednak radę“; dzięki naszym zeppelinom—jakaż ta Anglja „głupia“, że ich nie naśladuje!—oraz ostatnim

wynalazkom Kruppa, nie mogło być żadnej wątpliwości co do ostatecznego wyniku walki. Z pewnością szala zwycięstwa przechyli się na stronę Niemiec, jedynego w świecie narodu, który był godny panować nad wszystkimi innymi.

Ameryka także się „germanizowała“, dzięki coraz większemu napływowi wychodźców niemieckich, rozwojowi stosunków finansowych z Niemcami i przyjaznej postawie głównych dzienników, otwarcie popierających Niemcy. Plany podboju Ameryki były już opracowane przez główny sztab niemiecki, który miał zwyczaj wszystko przewidywać i być w pogotowiu na każdy wypadek.

Porucznik zapewniał, że były to rzeczy ogólnie znane, inaczej bowiem nie mówiłby o tem ze mną. Niedawno jeszcze byłabym uważała jego słowa za próżne przechwałki, teraz jednakże słuchałam je uważnie, zwłaszcza kiedy opowiadał, w jaki sposób Niemcy, pobijwszy Francję, staną się najsilniejszym w świecie mocarstwem morskiem, dzięki zabranym przez siebie trzem portom: Antwerpii, Calais i Dunkierce. Wiedziałam, że porucznik rzadko wygłasza własne zdanie, poprzestając na powtarzaniu tego, co słyszał w wyższych sferach. Przekonywać go, że Anglja nie zazdrości Niemcom, byłby to trud daremny. „Anglja podstępnie tamuje wszelkie szlachetne i wspaniałomyślne porywy Niemiec!“ To skandal, który prędzej czy później musi się skończyć. Tego nikt nie mógłby wybić mu z głowy.

Przypominam sobie długą rozmowę, którą miałam w tej kwestji z innym Niemcem, stojącym wiele wyżej od porucznika pod względem inteligencji, z profesorem Delbrück, następcą Treitschke'go w berlińskiej

wszechnicy. W zimie r. 1913 został zaproszony na śniadanie do księstwa. Dowiedziałam się później od księżnej, że sam pragnął porozmawiać z nauczycielką Angielką. Twarz jego ma wyraz wielkiego rozumu i choć nie piękna, promienieje inteligencją, oczy ciskają błyskawice, jak u młodzieńca, chociaż profesor Delbrück miał wtedy 62 lata.

Zaczął od komplementu zupełnie nieoczekiwanego.

— Pani musi mieć w sobie coś wyjątkowego, jeżeli nasza księżna przekłada panią nad wszystkie nauczycielki niemieckie, które ma tutaj pod ręką. Pod jakim względem pani nas tak przewyższa?

Dźwięk głosu był szyderczy, ale oczy znakomitego gościa uśmiechały się tak mile, obejście zaś było tak uprzejme, że nie mogłam się obrazić. Odpowiedziałam, że jedyna moja specjalność polegała na tem, że kochałam dzieci, a to najwięcej zjednywa nauczycielom młode duszyczki.

Profesor Delbrück odparł, że gdyby w istocie przywiązanie tak silnie oddziaływało na dzieci, nikt nie miałby na nie takiego wpływu, jak kobiety niemieckie. Wrodzona u nich miłość macierzyńska objawia się wielką ich płodnością.

— To sprawiło — mówił — że wszyscy pragniemy zdobyć za jakąbądź cenę więcej osad; potrzebne nam są, żeby pomieścić znaczny przyrost ludności. Mamy w Niemczech wszystko co istnieje dobrego na świecie — oprócz przestrzeni.

Ośmielona jego uprzejmością, wyraziłam żal, że Niemcy tak późno pomyślały o zdobywaniu osad, kiedy najlepsze zostały już zabrane przez inne narody.

— Ci tylko, którzy zasługują na to, żeby mieć osady, będą mogli zatrzymać swoje! — zawołał profesor Delbrück.

Zaczął mi dowodzić, że Niemcy ze względu na większą ilość zalet moralnych i wyższość swojej kultury, więcej od innych narodów zasługują na to, żeby mieć osady. Poprosiłam go, żeby mi wskazał, w jakich dziedzinach Niemcy wyprzedziły inne narody. Naturalnie zaczął od muzyki i wymienił ją z miną tak tryumfującą, że z początku onieśmielił mię. W miarę jak wymieniał nazwiska znakomitych muzyków, wzięła mię ochota zaprzeczyć mu.

— Czy pan nie sądzi, że większość tych mistrzów tylko przypadkiem należy do Niemiec? — zapytałam.

Profesor Delbrück spojrział na mnie, jak gdyby posądzał mię, że straciłam rozum.

— JAKO? — zagadnął.

Wszyscy wielcy muzycy, których pan wymienił, pochodzą z żydów, oprócz jednego tylko — Wagnera, ale podobno i on ma żydowską krew w żyłach. W takim razie ci znakomici twórcy nie są Niemcami, lecz żydami.

Profesor Delbrück na chwilę został zbity z tropu, ale wnet uśmiechnął się.

— Jest trochę prawdy w tem co pani mówi — przyznał — fakt, że żydzi niemieccy przewyższają innych żydów, potwierdza jednak moje słowa.

Dałam za wygraną dalszej sprzeczce, wiedząc z doświadczenia, że Niemcy w swoich sporach z cudzoziemcami zawsze muszą mieć ostatnie słowo, choćby mieli ich zakrzyczeć. Tej metody trzymali się świetni oficerowie, z którymi niekiedy rozmawiałam. Nieza-

chwiana pewność siebie, z jaką wygłaszali swoje zdania, tem więcej mię bawiła, że była połączona z zupełną nieświadomością wszystkich przedmiotów, nieobjętych programem egzaminów wojskowych. Tych oficerów przedstawiała mi zwykle hrabina, która następnie za ich plecami opowiadała mi o nich różne złośliwe lub skandaliczne historyjki.

Najpiękniejszy z nich, młody oficer ułanów, był według hrabiny człowiekiem, najwięcej uwielbianym w Berlinie przez kobiety, a w dodatku namiętym graczem, który utrzymywał się tylko dzięki podarkom swoich wielbicielek: pańien i mężatek. Sprzedawał wszystkie dawane mu pamiątki, a nawet kosztowne pierścionki, które „pożyczał“ i zapominał oddać, mimo to ofiary tych „pożyczek“ kochały go stale i wiernie...

Słyszając to oburzyłam się i oświadczyłam, że nie mogę w to uwierzyć. Hrabina odparła wesóło, że nie godzi się potępiać oficera, który w tym względzie naśladuje przykład cesarza.

— Wiadomo, że cesarz tylko *pożyczył* cudowną biblię palestyńską, złożoną dziś w królewskiej bibliotece berlińskiej — rzekła — ta księga nigdy nie będzie odadna. Cesarz widział ją w Syrii podczas swojej podróży i prosił, żeby mu pozwolono zabrać ją dla pokazania jej uczonym niemieckim. Stróże szacownego dzieła przeprosili go, że nie wolno im oddawać tej pamiątki w obce ręce, ale cesarz wsadził sobie w głowę, że musi mieć tę biblię i nie dawał za wygranę. Chciał ją nawet kupić, ale wartość jej wynosiła kilka milionów marek i królewski budżet pruski nie mógł zdobyć się na taki wydatek. Wówczas spróbowano innych sposobów, a mianowicie polecono naszemu posłowi

w Stambule, żeby porozumiał się z przybocznym sekretarzem sultana. Ostatecznie księga przyjechała do Berlina pod opieką zaufanego posłańca i cesarz uroczystie przyrzekł zwrócić ją, skoro zostanie zbadana przez specjalistów. Badanie nigdy zapewne nie będzie ukończone, gdyż biblja jest na stałe w naszej bibliotece.

— Może cesarz zamierza kazać zrobić kopję tego starego rękopisu, a potem dopiero go zwrócić? — napomknęłam.

— Może — odpowiedziała hrabina — w każdym razie nikt nie ośmieliłby się potępić jego postępowania. Taki skarb w Hazireh, dokąd nikt nie jeździ, był stracony dla świata, a tu do Berlina ze wszystkich stron mogą pielgrzymować ludzie, którzy ciekawi są takich rzeczy. Wszyscy powinni być wdzięczni naszemu monarsze, że umieścił we właściwym miejscu tę szacowną pamiątkę.

Hrabina miała zwyczaj wychwalać w sposób szczerzy wszystko co czynił cesarz. Raz tylko zganiała przy mnie bożyszcze swoich rodaków. Towarzyszyła księżnie na piknik wyprawiany przez cesarza i cesarzową i wróciła stamtąd oburzona.

— Czy to nie jest dziwne, że taki wielki człowiek może być jednocześnie tak mały! — zawołała — ma jakąś przyjemność w dokuczaniu ludziom. Jakże dziś żalowałam biednego hrabiego von B.! Cesarz czyhał na niego i jak tylko spostrzegł, że tamten kładł do ust jaki kąsek, złośliwie zadawał mu pytanie. Powtórzyło się to kilka razy. Biedak o mało się nie udławił, aż lzy mu w oczach stawały. Nadręczywszy go dostatecznie, cesarz chciał wypłatać tego samego figla kilku paniom, ale nie udało mu się, gdyż połknęłyśmy

tak prędko to co miałyśmy w ustach, że żadna nie potrzebowała się dusić... Chętnie byłabym wytargała go za uszy!

To życzenie równało się świętokradztwu i gdyby cesarz je słyszał, nigdy nie przebaczyłby tego hrabinie, pomimo że lubił ją bardzo, zapewne dla ładnej twarzy i pięknych rączek. Słyszałam, że szczególnie uwielbia piękne ręce u kobiet, może ze względu na brzydotę swoich własnych rąk.

Podczas ostatniego roku spędzonego w Niemczech dowiedziałam się od hrabiny, że stosunki między cesarzem a następcą tronu bardzo się zaostrzyły. Oboje cesarstwo uważali, że wychowanie wnuków nie jest dosyć religijne, ale te przykre rozterki między ojcem a synem musiały mieć głębsze przyczyny. Oficerowie znajomi hrabiny mówili, że doszło między nimi do prawdziwej kłótni z powodu polityki: następca tronu utrzymywał, że nadeszła chwila wypowiedzenia wojny Rosji, nie czekając, aż ona skończy reorganizację swojej armji, tymczasem cesarz zabronił mu stanowczo wygłaszania takich zdań, nawet wobec poufalej przyjaciół. Z tyłu stron słyszałam o tych niesnaskach, że w końcu musiałam w nie uwierzyć. Wnosząc z tego co mi mówiono, cesarz nie chciał wojny i uległ wtedy dopiero, kiedy przedstawiono mu, że to jest „nieuniknione“, — wyraz, którym wciąż posługują się Niemcy w rozmowie o polityce.

Z początkiem wiosny r. 1914, zauważyłam, że coraz więcej starszych wojskowych najwyższej rangi bywa u księstwa. Dotąd rzadko zjawiali u nich w Berlinie i Potsdamie, gdyż książę lubił tylko towarzystwo młodych i wesołych oficerów. Dziwiłam się, że nagle tak spoważniał.

Raz, kiedy miałam wyjść z dziećmi na miasto po fotografie, których życzyła sobie księżna, wszedł książę w towarzystwie generała o niezwyklej powierzchowności. Księżna powiedziała mi, że musi jeszcze zapytać męża o zdanie, lecz książę ma teraz co innego na głowie: będzie rozmawiał z generałem von Hindenburg o ważnych sprawach wojskowych. W ten sposób dowiedziałam się, kto jest ten niemłody generał o śmiałym spojrzeniu.

Stojąc na progu pokoju do palenia obok następcy tronu, przemówił kilka słów do chłopców, którzy oddali mu ukłon wojskowy. Nauczono ich tego, kiedy ledwie zaczynali chodzić. Widząc, że tym panom pilno rozmawiać swobodnie, śpiesznie uprowadziłam dzieci. Pamiętam doskonale, jaki kontrast obaj stanowili: książę szczupły i smukły o małych wąsikach i fałszywych oczach, które nigdy wprost nie patrzyły i stary generał von Hindenburg. Sprawił on na mnie wrażenie, że składa się z samych kwadratów: szerokie obwisłe policzki, pełne wojowniczej energii, były kwadratowe, głowa tworzyła jeden mocny kwadrat, włosy w tył czesane jeżyły się prostokątnie, nawet oczy o ciężkich napuchniętych powiekach miały kształt kwadratu, podobnie jak i nos, uszy i bujne wąsy, przedłużone sztucznie faworytami, przylegającymi do policzków.

Pytałam się hrabiny, co to znaczy, że tak spoważnieliśmy w wyborze naszych gości. (Przywykliśmy wyrażać się tak poufale o naszych chlebobawcach. *My* oznaczało księcia i księżnę podług słownika, używanego zazwyczaj przez służbę). Hrabina także nie wiedziała, co wpłynęło na tę zmianę, nie chcąc jednak przyznać się do swojej nieświadomości, zapewniła mię, że „jeżeli

coś się święci“, nawet księżna nie jest w to wtajemniczona.

Raz, w kwietniu r. 1914, hrabina przyszła do mnie wieczorem niezwykle wzburzona. Młodsze dzieci siedziały właśnie ze mną przy wieczerzy; poprosiłam hrabiny, żeby usiadła przy nas, ale odpowiedziała, że o niepod obna, gdyż księżna na nią czeka. Przyszła tylko powiedzieć mi, że u księcia są w tej chwili dwaj najpiękniejsi mężczyźni, jakich w życiu swoim widziała. Cesarz już ich przyjął w najściślejszem *incognito*; mieli jeszcze złożyć dwie wizyty przed wyjazdem z Niemiec.

— Musi pani ich zobaczyć! — rzekła—trzeba posłać po *Frau Z.*, żeby popilnowała dzieci, a ja zaprowadzę panią w takie miejsce, skąd będziesz mogła widzieć pięknych gości. Ale musisz potem zgadnąć, kto to jest, uprzedzam panią tylko, że choćbyś zgadła, nie wolno mi powiedzieć: „tak“, gdyż obiecałam księżnie, że nie zdradzę tajemnicy.

Kochana hrabina, nie mając do czynienia z dziećmi, nigdy nie liczyła się z niemi i zawsze wyobrażała sobie, że to są niemowlęta, a tymczasem były one w wieku, kiedy wszystko co jest tajemnicze, najsilniej pociąga.

— Wiem, o kim pani mówił—zawołał książę-marynarz—ci dwaj goście, których nazwiska nie chce pani wymienić, to książę Mohammed-Ali i Enver-bej. Słyszałam dziś rano, jak mama rozmawiała o nich z babcią. (Dzieci tak nazywały cesarzową, która często przychodziła do nich i przynosiła im czekoladki). Mama nie uważa, żeby byli tak piękni; powiada, że Enver-bej to żyd, a Mohammed-Ali także wygląda na żyda.

Hrabina szeroko otworzyła oczy.

— Mylisz się!—zawołała przestraszona—wszystko pomieszało ci się w główce. Książę Mohammed jest obecnie w Egipcie, czy też gdzieś w tamtych stronach, Enver-bej zaś w Konstantynopolu, gdzie ma dosyć roboty. Goście, o których mówiłam, to zupełnie kto inny.

— W każdym razie mama i babcia rozmawiali o nich dwóch—upierał się chłopiec—oni tu są z pewnością.

— Nie trzeba mówić o tem nikomu — przestrzegła hrabina — inaczej powiedzą, że ci się śniło, albo też nie będą cię uważali za mądrego chłopczyka.

Wyraz twarzy hrabiny świadczył, że mały książę miał słuszność; nie dał się też przekonać i dopiero cukierki, któremi poczęstowała go, odwróciły jego uwagę od tego niebezpiecznego przedmiotu.

Hrabina koniecznie upierała się pokazać mi owych pięknych gości, skoro więc przyszła *Frau Z.*, musiałam usiąść przy oknie, skąd widać było drzwi, przez które musieli wyjść. Napróżno jednak czekałam, odwiedziny tak długo się przeciągnęły, że musiałam wrócić do dzieci, zanim ci panowie wyszli. Ani nazajutrz, ani następnych dni nikt nie wspomniał o tajemnych odwiedzinach księcia egipskiego i naczelnika stronnictwa młodo-tureckiego. Naturalnie, nie pytałam o to hrabiny, ale bytność tych dwu ludzi u księcia dała mi do myślenia. Z pewnością nie dla przyjemności przyjechali *incognito* do Berlina i do Potsdamu.

W kilka tygodni później, książę wpadł ze zwykłą żywością do szkolnego pokoju podczas lekcji, nie

uwzględniając bynajmniej pracy umysłowej swoich dzieci. Kupił psa i chciał pokazać go chłopcom. Wychojąc, odwrócił się już na progu i zapytał:

— Czy pani ma znajomość wśród oficerów marynarki angielskiej?

To niespodziewane zapytanie przypomniało mi pana Steinhauera. Kiedy odpowiedziałam, że znam niewielu oficerów marynarki, zagadnął mię, czy przypadkiem nie spotkałam kiedy admirała Limpus. Jeden z moich przyjaciół służył istotnie pod admirałem tego nazwiska.

— Bardzo mię to interesuje—rzekł, usłyszawszy to—jeden z moich przyjaciół zapewne wejdzie w stosunki z admirałem Limpus, radbym też wiedzieć, co o nim sądzą marynarze angielscy. Znanie mi jest zdanie o nim Niemców, trudniej jednak dowiedzieć się, co myślą podwładni o swoim zwierzchniku. Ludzie różnych narodowości nie zwracają się sobie w tym przedmiocie, choćby nawet byli w przyjaznych stosunkach. Pani chyba dostatecznie nas poznała, żeby być przekonaną o naszej szczerzej życzliwości względem Anglików, dlatego właśnie tak nam zależy na ich zdaniu. Będę pani bardzo obowiązany, jeżeli napiszesz do swego przyjaciela z zapytaniem, czy on i jego towarzysze uważają admirała Limpus za marynarza rzeczywistej wartości, czy też za osobistość bez znaczenia. Może pani liczyć na mnie, że nie nadużyję jej zaufania.

Naturalnie obiecałam napisać niezwłocznie do Anglii, nie mogłam jednak oprzeć się pokusie i zapytałam księcia z niewinną miną, czy nie byłoby lepiej zamilczeć o Jego Wysokości.

Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu, książę odpowiedział, że pozostawia to mojemu uznaniu, jest to bowiem rzecz bez znaczenia. Po chwili namysłu prosił mnie jednak, żeby o nim nie wspominać; pytanie jego miało charakter zupełnie „poufny“, a mój przyjaciel mógłby przypuścić, że jest „urzędowe“. Dwa razy powtórzył te przymiotniki, jak gdyby chciał wbić mi je w głowę. Twarz jego miała zwykły wyraz obojętności i roztargnienia widocznie pragnął wmówić we mnie że tak dalece nie zależy mu na tej wiadomości. Byłabym temu uwierzyła, gdyby nie przygoda z panem Steinhauerem. Nieraz książę wypytywał mnie o różne znakomite osoby w Anglii i zawsze miałam wrażenie, że porusza ten przedmiot żeby coś powiedzieć, nie troszcząc się o moje odpowiedzi. Od jakiegoś czasu jednak w moim umyśle zaczęły budzić się pewne podejrzenia, które dawniej nie byłyby mi nawet powstały w głowie.

Tego samego dnia napisałam do mego przyjaciela, pytając go się o zdanie marynarzy angielskich co do admirała Limpus; dowiadywałam się jednocześnie, czy znane mu są powody, dla których Niemcy zajmują się nim. Za tydzień przyszła odpowiedź:

„Jedynym powodem, który tłumaczy ciekawość Niemców pod tym względem jest okoliczność, że admirał Limpus jest inspektorem marynarki tureckiej“ — pisał między innymi mój przyjaciel.

To utwierdziło mnie w przekonaniu, że według ulubionego wyrażenia hrabiny, „coś się święci“, i mimo woli zaczęłam zastanawiać się, czy to nie miało jakiego związku z tajemniczą bytnością księcia Mohammeda.

da i Enver-beja, jeżeli mój mały uczeń nie przesłyszał się.

Widząc się z księciem, powiedziałam mu, że mój przyjaciel z największym zapałem wyrażał się o admirałe Limpus. Wysłuchał tych pochwał z udaną obojętnością, pochwycałam jednak na jego twarzy cień niezadowolenia.

— Stokrotnie pani dziękuję — rzekł wreszcie, kiedy skończyłam—jakaż pani dobra, że zadałaś sobie tyle trudu!

ROZDZIAŁ XII.

Niepokojące objawy.—List do sir Edwarda Goschen.

W r. 1914 księżna prosiła, żebym pojechała na wakacje dopiero po 15-ym sierpnia. Przy końcu maja, księżniczka, dwaj młodzi książęta, *Frau Z.* i ja przenieśliśmy się z Potsdamu do willi w Czarnym Lesie. W dwa dni później przyjechał starszy książę z lekarzem i porucznikiem von X.; przywieźli z sobą nowego nauczyciela. Był to młodzieniec napozór cichy i łagodny, nie znosił tylko, żeby ktoś miał inne zdanie niż on w kwestjach politycznych.

Nawet na wsi miałam raz na tydzień wolne popołudnie i w braku innych rozrywek poświęcałam je na długie samotne przechadzki, zatrzymując się od czasu do czasu, żeby pogawędzić z wieśniakami, z którymi poznałam się lat poprzednich. Dzięki wprawie nabytej w języku niemieckim, mogłam tak swobodnie z nimi rozmawiać, jak gdybym nie była cudzoziemką. Pamiętałam imiona ich dzieci, pytałam się o starych rodziców, czy cierpią jeszcze na astmę lub reumatyzm i dzięki tej sztuce, której nauczyłam się od członków arystokratycznej rodziny angielskiej, pozyskałam sobie przyjaźń wieśniaczek z Czarnego Lasu. Te biedne ogorzałe kobiety o zniszczonych twarzach zamłodu wyglą-

dały na lat 40, a w średnim wieku sprawiały wrażenie staruszek.

W tydzień po moim przyjeździe do willi, jedna ze znajomych wieśniaczek powiedziała mi, że trzeba będzie śpieszyć się ze żniwami w tym roku, „gdyż potem będzie wojna“.

— Jaka wojna?—spytałam zdumiona.

Synowie jej służyli w wojsku.

— Chłopcy powiadają, że z Rosją i pewno z Francją, ale nie z Anglią, bo teraz są dobre z nią stosunki. Oficerowie to jedynie rozprawiają przy stole i przez to żołnierze wiedzą o wszystkim. Podobno Rosja już się zbroi przeciwko nam, nie można więc będzie długo czekać... Chcą tylko, żebyśmy wpród sprzątnęli zboże. My tutaj jesteśmy zupełnie bezpieczni; co nam mogłoby się stać w głębi Czarnego Lasu? Gdyby nie to, że powołują do wojska naszych synów, nie wiedziałoby się nawet o tem, co się dzieje na świecie. Zdaje się, że tym razem to będzie trwało krótko, przed zimą zawsze będzie pokój.

Ta kobieta mówiła z zupełnem przekonaniem; to samo powtórzyła mi inna wieśniaczka, matka młodego artylerzysty, z którego była bardzo dumna. Po żniwach będzie wojna... Daremnie wyśmiewałam się z nich, zapewniałam, że nikt w Europie nie myśli i nie pragnie wojny, niczem nie mogłam zachwiać ich wiary w to co słyszały od synów i od mężów. Na jesieni wybuchnie wojna, która skończy się przed zimą...

Wróciwszy do domu, opowiedziałam porucznikowi von X. o mojej rozmowie z wieśniaczkami, dziwiąc się ich głupocie i łatwowierności. Z gniewem targnął wąsą i oświadczył, że w istocie były głupsze od wie-

przy. Żołnierze, którzy powtarzają podobne brednie, przekręcając żarty oficerów słyszane przy stole, powinni być rozstrzelani, ale w takim razie należałoby rozstrzelać połowę armji. Dodał, że wojna nie zaskoczyłaby Niemców nieprzygotowanych; wiedzą, że cały świat dyszy przeciwko nim zazdrością i nienawiścią i mają się na baczności. Jeżeli zostaną zmuszone do walki, przeciwnicy drogo za to zapłacą!

Zdziwiłam się, że przywiązywał taką wagę do gadaniny starych kobiet wiejskich i z trudnością hamował rozdrażnienie. Złożyłam to na karb jednej z cech charakteru Niemców, a mianowicie, że nie znają się na żartach. Żalowałam, że wspomniałam mu o tem, lękając się, żeby nie ukarano młodych żołnierzy za rozsiewanie plotek. Staralam się uspokoić jego gniew, nie mogłam jednak zapomnieć tego zajścia.

Widok mapy, narysowanej w kilka dni później przez porucznika, rozbudził moje podejrzenia. Lekarz i on pili czarną kawę i palili cygara na balkonie, na który wychodziły okna i drzwi dwóch pokojów: jeden służył mi za szkołę, w drugim starszy książę miewał lekcje z porucznikiem. Na balkonie był żelazny stół jaskrawo pomalowany; żaden dom niemiecki nie może obejść się bez tego sprzętu. Słyszałam, że obaj panowie rozprawiali hałaśliwie podług zwyczaju niemieckiego.

Po ich odejściu wyszłam na balkon. W tej chwili wiatr porwał ze stołu kilka arkuszy papieru i cisnął mi je pod nogi. Wiedziona wrodzonym zamiłowaniem porządku, podniosłam je z zamiarem wrzucenia ich do kosza, gdzie spoczywały bruljony i różne gryzmoły moich uczniów. Przypadkiem spojrzawszy na nie, zo-

baczyłam na jednym arkuszu naszkicowaną pośpiesznie mapę północnej Europy i osłupiałam na widok Belgji, Holandji i północnej Francji aż do Calais, tworzących jedną całość z Niemcami. Rysunek wykonany był ołówkiem z jednej strony czerwonym, z drugiej szafirowym; porucznik zawsze poprawiał nim wojskowe plany chłopców, a przytem kilka słów skreślonych jego charakterem nie pozostawiało żadnej wątpliwości co do tego, kto był autorem tej mapy. Po namyśle zmniejszył nieco nabytki Niemiec w północnej Francji, ograniczając je do Dunkierki.,.

Stałam jeszcze na balkonie, wpatrzona w mapę, kiedy przez szklane drzwi wszedł porucznik i zmieszał się na widok swego szkicu w moich rękach.

— Ach! chciałem zażartować z doktora i przerebiłem mapę Europy—rzekł.

— Doprawdy?—odparłam mimowoli, oddając mu papier.

Ten rysunek nie miał znaczenia w istocie; tysiące dusz niemieckich w szale pychy narodowej mogło naszkicować taką mapę, a jednak tego samego dnia wieczorem napisałam długi list do jednego z moich przyjaciół, Anglika, który spędził dziesięć lat w banku niemieckim. Donosiłam mu, że Enver-bej i księżę Mohammed-Ali bawili w Berlinie *incognito* i byli przyjęci przez cesarza i księcia następcę w Potsdamie. Dodałam jednak, że ta wiadomość pochodzi od dziecka, które mogło opacznie zrozumieć to co przy nim mówiono, mimo to, byłam pewna, że powiedziało prawdę. Powtórzyłam słowa wieśniaczek, że wojna będzie „po żniwach“. Opowiedziałam, w jaki sposób porucznik von X. przerabiał mapę Europy i dodałam, że od zimy

wielu starszych wojskowych bywa u księcia następcy. Zakończyłam list historją mojej znajomości z panem Steinhauerem i wzmianką o interesowaniu się księcia admirałem Limpus.

— Może w tem coś jest?—pytałam.

Mój stary przyjaciel odpowiedział mi bardzo rozsądnie, że niepotrzebnie się niepokoiłam: wojskowi w Niemczech zawsze muszą rozprawiać o przyszłej wojnie. Doznałam nieprzyjemnego uczucia, że napróżno poniżyłam się do roli „plotkarki“. Mój przyjaciel stanowczo nie wierzył w bytność księcia Mohammeda w Berlinie. Przyrzekłam sobie trzymać odtąd moją wyobraźnię na wodzy, a kiedy wkrótce eskadra angielska przyplłynęła do Kilonji, dając sposobność cesarzowi do wywieszenia flagi admirałkiej na okręcie angielskim *King George V*, wstyd mi było moich podejrzeń.

W trzy dni po odjeździe eskadry z Kilonji, morderstwo arcyksięcia Ferdynanda i jego żony w Serajewie wywołało cały szereg wypadków, które znowu mię zatrzwożyły!

Bawiliśmy jeszcze w Czarnym Lesie, kiedy doszła nas wiadomość o dramacie w Serajewie. Książę i księżna obiecali przyjechać do nas 29-go czerwca, tymczasem odebraliśmy telegram, że niepodobna im teraz opuścić Potsdamu. Morderstwo arcyksięcia stało się przedmiotem ożywionych rozpraw w naszym małym kółku. Doktor, żarliwy katolik i wielki wielbiciel arcyksięcia, rzucał gromy na zbrodniarza i na wszystkich Serbów w ogóle, porucznik zaś, dzielając jego zdanie, co do Serbów, których nazywał „rasą psów wściek-

łych“. nie uważał, żeby śmierć arcyksięcia, „podpory reakcji“, była rzeczą szkodliwą dla Niemiec.

— Śmierć jego przychodzi w samą porę—oświadczył—i przyspieszy rozwój wielkich wypadków, zaczynając od ukarania Serbji.

Rano 30-go czerwca—znalazłam tę datę w moim dzienniku od niedawna prowadzonym—porucznik odebrał telegram, który sprawił na nim silne wrażenie. W kilka godzin później przyszedł pożegnać się ze mną. Zdumiałam się, gdyż dotychczas nie było mowy o jego rychłym wyjeździe.

— Mam nadzieję, że nie odebrał pan złych wiadomości—rzekłam.

— Bynajmniej—odpowiedział, ściskając mi rękę—wzywają mnie do pułku, o co wcale się nie gniewam. A jednak brakować mi tam będzie tej spokojnej pracy, szczęśliwego życia, moich uczniów i pani takżel—dodał grzecznie ze zwykłym sztywnym ukłonem.

— Ale pan zapewne powróci do nas? — zapytałam—może po manewrach w jesieni?

Przypomniałam sobie, że kilka razy wyjeżdżał na wielkie manewry.

Przecząco potrząsnął głową.

— Ach! wielkie manewry!—powtórzył i oczy mu zabłysły — zdaje się, że później będę jeszcze bardziej zajęty...

Urwał nagle z miną człowieka, który posiada bardzo ważne wiadomości, lecz skonałby raczej, zanim wyjawilby je. Przypuszczałam z początku, że to odnosiło się tylko do niego, teraz jednakże wiem, jakie było źródło jego wzruszenia.

Starsi książęta szczerze zmartwili się odjazdem

porucznika, którego kochali i uwielbiali za jego wiadomości wojskowe; nowy nauczyciel cichy i spokojny, nie mógł zastąpić go w sercach małych żołnierzy.

Dowiedziałam się jednocześnie, że wszystkie plany księstwa na lato zostały zupełnie zmienione i domyślałam się, że stało się to z powodu morderstwa w Serajewie. Księżę wyobrażał sobie, że posiada takie samo znaczenie w kołach politycznych, jak w sferach wojskowych i sądził, że nie wypada po takiej katastrofie składać wizyt dla przyjemności, albo pod pozorem leczenia bawić się w modnych miejscach kąpielowych. Zdziwiłam się, kiedy w kilka dni po wyjeździe porucznika odebrałam telegram, wzywający mię do Potsdamu wraz z dziećmi, doktorem, nauczycielem i służbą.

Dopiero w Potsdamie, dokąd przyjechaliśmy 6-go lipca, dowiedziałam się, dlaczego kazano nam powrócić: księżę miał wyjechać do Wrocławia i chciał pożegnać dzieci, gdyż będzie długo nieobecny. Księżna, bardzo zmieniona i niespokojna, tym razem nie towarzyszyła mężowi. Hrabina także wydała mi się bardzo znękana; opierając się na naszych przyjaznych stosunkach, zapytałam ją odrazu własnymi jej słowami: „co się święci“?

Zaczynałyśmy zwykle rozmowę po cichu, jak spiskowcy na scenie, zwykle jednak hrabina zapomniała o koniecznej ostrożności i wywnętrzała się ze wszystkiego co wiedziała. Tym razem wyjątkowo była skryta i milcząca. Zapewniła mię, że nic nie wie i przypuszczała, że wszyscy nie mogą dotąd otrząsnąć się

z przykrego wrażenia, które wywarła tragiczna śmierć arcyksięcia i pięknej jego żony.

Może mówiła prawdę. Zauważyłam, że ilekroć wychodziłam do miasta z dziećmi, zamiast zwykłej eskorty składającej się z jednego ajenta tajnej policji po cywilnemu, towarzyszyło nam dwóch. Poznałam ich od razu, chociaż trzymali się zdala od nas.

Pożegnanie księcia z dziećmi było nacechowane niezwykłą czułością ojcowską. Przedtem mało troszczył się o najmłodszego synka, uważając — a było to ogólne zdanie — że pod względem urody nie dorównywa starszym. Teraz serce jego wezbrało nagle uczuciem tkliwości dla tego dziecka i malec powrócił do mnie zalany łzami. To uroczyste pożegnanie wydało mi się dziwne ze strony człowieka, który ciągle był w drodze i z najdalszych granic cesarstwa, bez względu na swoje tam obowiązki, wpadał na kilka godzin do Potsdamu. Zdawało mi się, że rozwiązaniem tej zagadki jest wyjazd dzieci: wysyłano nas do zamku nad Renem, gdzie nie byłam od pierwszego lata spędzonego w Niemczech. Postanowienie to zapadło nagle w trzy dni później, widocznie chciano nas się pozbyć.

W przeddzień wyjazdu mnóstwo młodych oficerów złożyło pożegnalne wizyty księżniczce, która tymczasem z dziewczynki wyrosła na panienkę. Dziwnym zbiegiem okoliczności wszyscy opuszczali Berlin, rozjeżdżając się w różne strony. Radość bijąca z ich twarzy, była znowu dla mnie zagadką. Nie chcąc narażać się na zawód, nie pytałam o nic hrabiny i dopiero po przyjeździe do zamku nad Renem ostrożnie zaczęłam badać dzieci.

— Dlaczego tylu oficerów teraz wyjeżdża? — zagadnęłam najstarszego księcia, już wyzwolonego z pod mojej opieki—czy w tym roku manewry, wcześniej się odbędą?

— W tej chwili nie pora na manewry, lekceważąco odparł chłopiec, przekonany, że kobiety nigdy nie potrafią zrozumieć spraw wojskowych—oficerowie muszą przygotować się do wojny z Rosją.

— Któż ci to powiedział?

— Nikt mi tego nie mówił, ale ja słyszałem, jak rozmawiali o tem, że Rosjanie budują koleje żelazne i mobilizują armję. Wojna musi wybuchnąć za kilka tygodni, a wtedy wszyscy mężczyźni pójdą się bić! Jakżebym chciał być dorosłym! W dzień moich urodzin tatuś obiecał, że postarają się odwlec wojnę, dopóki nie skończę osiemnastu lat, a teraz powiada, że tylko żartował! To wszystko przez tych Rosjan! Dlaczego tak im pilno się bić?

Przez chwilę uważałam to za zwykłą paplaninę dziecinną, a jednak wiedziałam, że książe w rozmowie bynajmniej nie krępował się obecnością dzieci, nie mając nawet względu na małą księżniczkę, która chwyciła wszystko co słyszała i widziała. Ileż razy niewinne ich usta powtarzały mi różne skandaliczne plotki, historie o cudzołóztwach, rozwodach, a wszystkie z jednego pochodziły źródła.

Coprawda księżna w pierwszych latach mego pobytu starała się niejednokrotnie powstrzymać zbyt swobodny język męża, wkrótce jednak dała za wygraną temu przedsięwzięciu, nie rokującemu żadnej nadziei powodzenia. Przyszło mi na myśl, że zapewne książe rozwodził się nad planami wojny, nie zważając na obec-

ność dzieci; nawet obawa, że dojdzie to do moich uszu, nie byłaby zdolna nakazać milczenia temu staremu nieroztropnemu dzieciakowi, który szedł zawsze za popędem porywczej swojej natury.

Nigdy nie przypuszczałam, żeby ktoś mógł śledzić mnie i pilnować, dopiero później przekonałam się o tem, nie wierzę jednak, żeby księstwo mieli ustanowić dozór nademną, prędeż może tajny agent, który pojechał z nami do zamku X, przedsięwziął to na własną rękę.

Brakowało mi rozmowy z porucznikiem X.; to najlepszy dowód, jak nudne i jednostajne musiało być nasze życie. Towarzystwo nieśmiałego i niezgrabnego nauczyciela stanowiło dla mnie raczej zawadę, niż rozrywkę. Doktora widywaliśmy tylko dwa razy dziennie na pół godziny, kiedy przychodził dowiadywać się o zdrowie dzieci.

Miewaliśmy jednak gości, głównie oficerów, którzy śpiesznie przyjeżdżali niewiadomo skąd, albo równie śpiesznie wyjeżdżali niewiadomo dokąd i skutkiem tego mogli bawić u nas najwyżej 10 minut. Dla mnie mieli jedynie kilka słów zdawkowej grzeczności, oraz sztywny ukłon wojskowy przy powitaniu i pożegnaniu. Za to dla starszego księcia te odwiedziny były źródłem wielkiego zadowolenia; uważał, że oficerowie przyjeżdżają tylko do niego i odprowadzał ich zawsze do wrót parku. Dla sąsiadów, którzy czasami nas odwiedzali, nigdy nie zadawał sobie tego trudu. Łaskawie pozwalał młodszemu bratu towarzyszyć sobie, ani razu jednak nie wziął „malca“, który aż ryczał z płaczu, że zostawiają go.

D. 15-go lipca przyjechał do nas oficer, który

pięć lat temu towarzyszył cesarzowi, kiedy zobaczyłam go po raz pierwszy. Tak samo zjawił się na progu altany, lecz tym razem był rozmowniejszy. Przybywał z polecenia monarchy, żeby zobaczyć małych książąt, prócz tego miał jeszcze jakąś sprawę do załatwienia w sąsiedztwie, nazajutrz zaś musiał być z powrotem w Berlinie.

Tym razem nie przywieźliśmy z sobą gry hr. Zepelina, gdyż nie było porucznika, który tłómaczyłby dzieciom jej zasady. Zresztą taka wielka paka zanadto obciążałaby nasze pakunki. Po odjeździe oficera, starszy książę przypomniał sobie ulubioną zabawę i żałował, że jej nie zabrano. Oświadczył, że z przyjemnością rzucaliby bomby na Petersburg, a tymczasem „dzieci“—tak nazywał młodszych braci—prowadziłyby żołnierzy ołowianych na tę stolicę.

— Dlaczego na Petersburg?—zapytałam.

— Zareczam pani, że tam niedługo będziemy — odparł mi istnie cesarskim tonem.

W braku zeppelinów, kazano służbie rozpakować skrzynkę z żołnierzami i zabawa się zaczęła. Usiadłam z książką obok moich uczniów i po podwieczorku zajązałam co robią. Starszy książę narysował kredą na podłodze mapę Europy, ale jakie było moje zdumienie, kiedy zobaczyłam, że dwaj młodzi chłopcy zapełnili żołnierzami nie tylko Francję, ale i Belgię także!

— Na miłość Boską! co robicie, mali Wandale?—zawołałam.

— Muszę się śpieszyć, żeby potem uderzyć na Rosjan—objaśnił starszy książę, widocznie odpowiedzialny kierownik działań strategicznych.

— Przecież wiecie, że nie macie prawa przechodzić przez Belgię. Czy porucznik von X. nie powiedział wam, że to jest kraj neutralny, to znaczy, że nikt nie może tam wejść z bronią w rękę?

— Owszem, powiedział—odrzekł książę—ale teraz położenie się zmieniło: Belgja nas przepuści, podobnie jak Luksemburg, a my im za tę uczynność zapłacimy.

— Czy to w twojej głowie powstał taki pomysł, czy też kto ci go poddał?

— Nikt nie potrzebował poddawać mi, w jaki sposób mam się bawić w żołnierzy, — hardo odpar książę — tak będzie z pewnością, wszyscy oficerowie o tem wiedzą.

Dałam pokój dalszej rozmowie, pomyślałam jednak, że w słowach dziecka kryje się coś ważnego i postanowiłam uprzedzić o tem kogoś.

Ale kogo? Z początku chciałam napisać do wielkiej damy angielskiej, która poleciła mię księstwu, ale mąż jej umarł, ona zaś może nie zużytkuje mego listu. Długo zastanawiałam się nad tem i w końcu postanowiłam zwrócić się do sir Edwarda Goschen, posła angielskiego w Berlinie. Zabawa, w której dzieci napały na Belgię, kiedy cała Europa czyniła nadzwyczajne wysiłki dla utrzymania pokoju, wywołała u mnie istny popłoch. Nie znałam nikogo w ambasadzie, a sir Edwarda Goschen raz tylko spotkałam, przypuszczałam jednak, że nazwiska moich krewnych w Waszyngtonie i Londynie, oraz wzmianka o miejscu, zajmowanem u księstwa od lat pięciu, będą stanowiły dla niego dostateczną rękojmię.

ROZDZIAŁ XIII

Położenie pogarsza się.

Z ciężkiem sercem muszę przyznać się do głupstwa, które popełniłam.

Zużywszy wiele czasu na skreślenie listu, nazajutrz rano, zamiast iść do wsi i samej wrzucić go do skrzynki, jak nakazywała roztropność, położyłam go w przedsiönku na stole, gdzie wszyscy składali korespondencję, którą dwa razy na dzień zabierano na pocztę. Czyż mogłam przypuścić, że jestem pod dozorem? Kto wie jednak, czy nazwisko posła angielskiego na kopercie nie byłoby i tak obudziło podejrzenia. Mniejsza o to! Zawsze mi się zdaje, że gdyby nie ta nieroztropność, byłabym uniknęła tego, co przesłałam.

Po wysłaniu listu byłam bardzo wzburzona i wciąż zadawałam sobie pytania, jakie będą skutki mego zachwałego kroku. Spodziewałam się, że odpowiedź sir Edwarda Goschen uspokoi mię co do położenia politycznego, ale kiedy dzień za dniem mijał, a nic do mnie nie przychodziło, czułam się obrażona. Jakie to dla mnie upokarzające, że nie zwrócono wcale uwagi na moje doniesienia, podyktowane mi przez miłość ojczyzny!

Pewną pociechą dla mnie było przypuszczenie, że poseł angielski lękał się narazić mię na przykrości i dlatego mi nie odpisał. A może nawet nie dostał mego listu? Kto wie, czy korespondencja na poczcie nie podlegała już tajnej cenzurze? Myśl, że taka cenzura istnieje w zamku, nie przyszła mi nawet do głowy.

Tymczasem życie nasze płynęło jak zwykle spokojnie i jednostajnie. To mię tylko zaniepokoiło, że nie dostawałam listów i telegramów od księżny. Zawsze pisywała do mnie co tydzień krótki bilecik po angielsku, albo dyktowała sekretarzowi dłuższe listy po niemiecku, oprócz licznych depesz, w których przesyłała mi ważne jakieś zlecenia.

Około 17-go lipca spodziewałam się listu, albo kartki, tymczasem nic nie przyszło i nawet dzieci nie dostały ani słówka. Zato w kilka dni później chłopcy odebrali telegram od matki; uderzyło mię to, że nie było w nim wzmianki o mnie.

W następnym tygodniu *Frau Z.* miała zaszczyt otrzymać list od sekretarza księżny z własnoręcznym podpisem Jej Wysokości. Pierwszy raz zdarzyło jej się coś podobnego, przyszła więc natychmiast pochwalić się przedemną. Księżna skarżyła się w tym liście na uporczywe bóle głowy; wyobraziłam sobie, że to było zapewne przyczyną jej milczenia i pisząc jak zwykle długi list, w którym donosiłam o zdrowiu, zajęciach i zabawach dzieci — dwa razy na tydzień wysyłałam takie sprawozdania — ubolewałam nad jej chorobą.

Codzień przychodził do zamku dziennik niemiecki i kilka tygodników. Doktor i nauczyciel zabierali je pierwsi — w Niemczech uważa się to za jedno z praw należnych rodowi męskiemu—byli jednak tak względni,

że po przeczytaniu oddawali mi je. Prócz tego miałam dla siebie dziennik angielski i miesięcznik. Tymczasem d. 28-go lipca poczta nic dla mnie nie przyniosła! Kiedy zapytałam o to lokaja małych książąt, odpowiedział, że żaden dziennik nie przyszedł. To samo powtórzono mi wieczorem i nazajutrz rano.

Zdumienie moje nie miało granic. Nauczyciel zapytany przezemnie, co się dzieje w świecie, odrzekł, że nie widział także ani jednego pisma. Lekarz oświadczył, że to rzecz szczególna i przyrzekł dowiedzieć się na poczcie, co to znaczy, wieczorem jednak, badając dzieci, jak zwykle, przyznał się, że zapomniał o swojej obietnicy. Rozmawiał z kilku osobami i doszedł do przekonania, że nie stało się nic ważnego.

Teraz dopiero miarkuję, że wszystkim osobom w zamku kazano mieć się na baczności przedemną i stąd pochodziło ich milczenie. *Frau Z.* musiała dostać polecenie, żeby nie dała mi tego dnia wyjść z zamku, przysłała bowiem prosić mię o flakon soli angielskich, a kiedy przyszłam do jej łóżka, skarżyła się na tak silne bóle, że musiałam przy niej zostać.

Od 28-go lipca do 4-go sierpnia nie widziałam ani jednego dziennika, nie dostałam żadnego listu i nic nie wiedziałam, co się dzieje na świecie.

Rano, d. 4-go sierpnia obudziło mię silne pukanie do drzwi. Było dopiero wpół do siódmej. Złęklam się, że które z dzieci zachorowało, tembardziej że do mego pokoju weszła *Frau Z.*

— Czy stało się co dzieciom? — zapytałam z przestrawem.

— Nie, proszę pani, dzieci są zdrowe — odrzekła *Frau Z.* — chciałam tylko powiedzieć, że dziś

w nocy przyjechał Jego Ekscelencja, hrabia von S. — (był to stary przyjaciel księżny, jeden z najstarszych naszych gości w Potsdamie) — przesyła pani ukłony i pragnie widzieć się z panią jaknajprędzej.

Ta wiadomość bardzo mię zaniepokoiła.

— Może przywozi jakie złe nowiny o księciu, albo o księżnie? — zapytałam, strwożona niezwykle poważną miną starej guwernantki.

— Nie sędzę — odrzekła — zdaje mi się, że idzie o sprawę, która tyczy się pani jedynie. Może jakie zlecenie. W każdym razie Jego Ekscelencja prosi, żeby pani się śpieszyła, zaraz bowiem odjeżdża samochodem. Zastanie go pani w białym salonie.

Dowiedziawszy się, że hrabia ma zlecenie do mnie, zaczęłam przeczuwać nieszczęście, nie miałam jednak pojęcia, o co idzie. Przyjazd jego musiał być w związku z przerwaniem korespondencji z Potsdamu, ale czem ja mogłam ściągnąć na siebie niezadowolenie księżny?

Zaczęłam ubierać się śpiesznie i nie czekając, na śniadanie, zesłam do ślicznego saloniku, przeznaczonogo na buduar dla księżny, gdyby zjechała do zamku.

ROZDZIAŁ XIV

Wyzwolenie.

Hrabia czekał już na mnie w białym salonie. Był to otyły 60-letni mężczyzna, średniej inteligencji, ale niezmiernie uprzejmy, i — jak przypuszczałam — obdarzony dobrem sercem.

Stał przy oknie wychodzącem na Ren, z rękoma w tył założonemi. Był trochę głuchy, nie usłyszał więc mego wejścia i odwrócił się dopiero, kiedy przemówiłam do niego. Ukłonił się, ale miał minę bardzo uroczystą; daremnie szukałam na jego twarzy życzliwego uśmiechu, którym zawsze witał małych książąt, oraz ich nauczycielkę.

— Pani — zaczął po niemiecku — mam spełnić względem niej przykre zlecenie. Przysłała mię tu księżna, która w nieobecności swego dostojnego małżonka raczyła zasięgnąć mego zdania. Uradziliśmy, że zamiast wysyłać kogoś obcego, najlepiej będzie jeżeli sam przyjadę, chociaż w tej chwili podróż wcale mi nie dogadza. Z żalem muszę pani oznajmić, że doszła nas wiadomość bardzo przykra: w czasach ciężkiej próby, przez którą przechodzi nasz naród, pani uważała za stosowne nadużyć zaufania księstwa, swoich chlebobawców, pomimo że przez pięć lat obchodzili się z tobą, jak z przyjaciółką.

Na te słowa skamieniałam. Wszystko zaczęło kręcić się wkoło mnie i zdawało mi się, że upadnę. Z trudnością wyjąkałam, że nie wiem, o czym hrabia mówi.

— To jakieś straszne nieporozumienie — szepnęłam.

— Na nieszczęście, nie może być mowy o nieporozumieniu: mamy dowody, że pani potajemnie przesyłała wiadomości wrogowi naszego kraju, a zatem wrogowi swoich chlebobawców. Tak, skorzystała pani z zaufania, którem cię obdarzono, żeby grać rolę szpiega!

Nakoniec zrozumiałam! Hrabia mówił o moim liście do posła angielskiego; musiano pochwycić go albo w zamku, albo na poczcie i naturalnie nie odesłano go sir Edwardowi Goschen.

Czy pan hrabia ma na myśli mój list do naszego posła? — zapytałam bez zastanowienia.

— Nie jestem obowiązany odpowiadać na zapytania pani i skorzystam z tego prawa — odparł uroczyście — polecono mi wywieźć stąd niezwłocznie księżniczkę i małych książąt; służba wkrótce podąży za nami. Co do pani, księżna kazała powiedzieć, że jest równie zmartwiona jak zdumiona jej postępowaniem i nie chce jej widzieć, gdyż byłoby to dla niej zbyt przykre. Tymczasem pozostanie pani tutaj. Księżna nie byłaby obowiązana płacić pani po zdradzie, której się dopuściłaś, mimoto przesyła pani przezemnie pensję za dwa miesiące: ubiegły i przyszedł. Proszę o pokwitowanie. Potem zechce pani udać się do swego pokoju, nie próbując widzieć się z dziećmi, gdyż księżna zabroniła tego. Ja sam wytłómaczę im wszystko.

Powinna pani być bardzo wdzięczna Jej Wysokości za to, że nie pozwoliła oddać pani w ręce policji, jako szpiega.

W miarę jak hrabia mówił, głos jego coraz większem brzmiał oburzeniem; widocznie podniecał się swoją własną wymową. Twarz jego stała się karmazynową, oczy utkwione były we mnie, jak gdyby chciał mię spiorunować swoim spojrzeniem,

Zachowanie jego zagłuszyło we mnie poczucie pewnej winy i głęboki żal, który ścisnął mi serce na początku rozmowy, zamienił się w gniew i gorycz. Zaczęłam bronić się z uniesieniem, wołając, że bynajmniej nie byłam szpiegiem. Przypadkiem doszły do moich uszu rzeczy, o których moja ojczyzna powinna była wiedzieć, nie można więc potępiać mię, że patriotyzm wziął u mnie górę nad innymi obowiązkami. Zresztą nic nie uczyniłam takiego, co mogłoby zaszkodzić bądź Niemcom, bądź rodzinie moich uczniów.

Moja obrona jeszcze więcej rozdrażniła starego hrabiego; przerwał mi i zaczął gwałtownie napadać na Anglję i Anglików. Byliśmy zawsze narodem zdrajców, wężami Europy, a teraz przez nędzną zawiść spiskujemy przeciw Niemcom! To my skłoniliśmy Belgję, żeby nie pozwoliła przejść swobodnie armji niemieckiej przez swoje terytorjum, skutkiem czego możnaby od razu zgnieść Francję! A teraz na domiar nieuczciwości Anglja wypowiedziała wojnę Niemcom!

Ta nowina zaskoczyła mię niespodziewanie. Teraz zrozumiałam, dla czego od tygodnia nie dano mi do ręki żadnego dziennika. Niewątpliwie śledzono mię już od dłuższego czasu i uprzedzono służbę, albo przy-

najmniej nauczyciela, lekarza i *Frau Z.*, jakie podejrzenie na mnie ciążyło.

Z kolei przerwałam hrabiemu, stojąc w obronie Anglii; jeżeli wypowiedziała wojnę, z pewnością zmuszono ją do tego, ale mój przeciwnik zakrzyczał mię, wołając, że mówię niedorzeczności. Sir Edward Goschen doskonale wiedział o wszystkim i na kilka tygodni przedtem odprawił całą służbę niemiecką. Czyż to nie dowodzi, że przewidywał swój rychły wyjazd z Berlina?

Na to nie mogłam nie odpowiedzieć, powróciłam więc do spraw osobistych i oświadczyłam hrabiemu, że nie zostanę sama w zamku. Nie popełniłam żadnej zbrodni, nikt zatem nie miał prawa zatrzymywać mię gwałtem. Przyjmę tylko pensję za miesiąc ubiegły i w dwie godziny po wyjeździe dzieci opuszczę zamek.

Stanowczość, z którą to wypowiedziałam, uśmierzyła nieco gniew starego hrabiego. Przestał bredzić na temat przewrotności Anglików i powiedział mi, że według praw niemieckich, stałam się winna szpiegostwa gdybym była nauczycielką w zwykłej rodzinie, odda-noby mię w ręce policji. Księżna mimo mojej niego-dziwości, miała jednak litość nademną a przytem ze względu na dzieci chciała uniknąć skandalu.

Wkrótce wszyscy Anglicy w Niemczech będą wysłani do obozów zbiorowych i mnie w innych oko-licznościach spotkałby ten los, za który mogłabym po-dziękować Bogu. Jako szpieg powinnabym iść do wię-zienia, jako poddana nieprzyjacielskiego państwa, po-winnam zostać internowana, tymczasem dzięki aniels-kiej dobroci księżny, nie spotka mnie ani jedno, ani

drugie nieszczęście, będę tylko zatrzymana w zamku i strzeżona pilnie, żebym nie mogła szkodzić Niemcom.

Zaczął mi tłumaczyć, że gdyby nawet, pomimo spełnienia tak niegodziwego i przewrotnego czynu, pozwolono mi stąd wyjechać, nigdy nie mogłabym się wydostać z Niemiec. Kolejami żelaznymi przewożono wojsko jedynie i tak będzie przez wiele tygodni jeszcze. Prawdopodobnie wojna nie przeciągnie się długo: za kilkanaście dni armja niemiecka stanie u wrót Paryża, potem pogromiwszy Francję, zwycięzcy zwrócą się przeciw Rosji, mocno już nadszarpniętej przez Austrię. Skoro wojna się skończy, będę mogła wrócić do mego kraju i opowiadać o moich dostojnych opiekunach tyle kłamstw, ile mi się podoba, ale nie wcześniej.

Zwykła uprzejmość starego szlachcica opadła, jak zżółkły liść pod pierwszym podmuchem zimowego wiatru. Wytworne jego obejście było tylko zewnętrzną łupiną, pod którą krył się osobnik ze sławnego gatunku *junkrów* pruskich.

Nie chcąc uchybić mojej godności, musiałam tymczasowo poddać się memu losowi. Czułam zresztą, że opór na nic się nie przyda. Wziąwszy ze stołu należne mi pieniądze, ukloniłam się i wyszłam. Wyobrażam sobie, jakiego zawodu doznał starszerek! Myślał, że z płaczem będę go błagała, żeby mi pozwolił pożegnać dzieci i moje milczenie wydało mu się dowodem zakamieniałości serca. Zaiste, byłabym chciała widzieć je raz jeszcze, ale duma nie dała mi prosić o łaskę, która pewno nie zostałaby mi udzielona.

Nawet *Frau Z.* nie przyszła pożegnać się ze mną: a może nie pozwolono jej na to. Jestem pewna, że poczciwa kobieta w głębi serca żałowała tego. Nie

wiem, co powiedziano o mnie dzieciom i pewno nigdy się nie dowiem. Usłyszałam turkot scmochodu, którym odjechały i odtąd na zawsze zniknęły z widnokregu mego życia. Okna moich pokojów wychodziły na drugą stronę zamku, nie mogłam więc widzieć, co się działo na dziedzińcu.

Po odjeździe moich kochanych małych ksiąząt, najwyższym wysiłkiem woli otrząsnęłam się z przygnębienia i zaczęłam zastanawiać się nad mojem położeniem. Należało powziąć jakiś plan postępowania, ale nic wymyśleć nie mogłam.

Około południa, milutka pokojówka, imieniem Małgosia przyniosła mi obiad na tacy. Jestem przekonana, że podobnie jak całej służbie, która pozostała w zamku, rozkazano jej pilnować mię i obchodzić się ze mną surowo, uprzedzając, że jestem szpiegiem. Tymczasem w zachowaniu jej względem mnie nie zauważyłam żadnej zmiany. Była również grzeczna, jak dawniej i powiedziała mi, że jej tak przykro widzieć mię chorą, skutkiem czego nie mogłam towarzyszyć małym książętom. Pocziwe dziewczę nie myliło się, gdyż potem co zaszło rano, czułam się bezsilna i znękana, ale życzliwe jej słowa poddały mi plan wyzwolenia.

Udając chorą, odsunęłam tacę z obiadem. Kochana Małgosia okazała mi wtedy jeszcze tkliwsze współczucie i podała mi list, ukryty pod serwetą. Hrabia pisał do mnie, że stosownie do woli księżny, mogę przechadzać się swobodnie po parku i po zamku, wzbронione mi jest tylko wyjście za bramę. Dowiedziawszy się później, w jaki sposób obchodzono się z moimi rodakami w obozach niemieckich, uważam,

że spotkała mię wyjątkowa łaska, wówczas jednak za-
trzęślam się z oburzenia.

Całe dnie i noce rozmyślałam nad sposobem wy-
dostania się z zamku, gdyż postanowiłam uciec za ja-
kąbądź cenę.

Napisałam już wszystko, co wiedziałam o uspo-
sobieniu Niemiec przed wojną, nie mam więc prawa
narzucać się dłużej czytelnikom. Niech mi przebaczą,
że dodam jeszcze kilka słów, w jaki sposób mój plan
wykonałam.

Chociaż wolno mi było przechadzać się po par-
ku, postanowiłam nie korzystać z tego wcale. Pozba-
wiona ruchu i pożywienia wyglądałam istotnie, jak oso-
ba ciężko chora. Po sześciu tygodniach wszyscy w to
uwierzyli. Jestem pewna, że żadna Niemka nawet przez
połowę tego czasu nie zniósłaby męczarni głodowych,
które cierpiałam dobrowolnie, jedząc tylko tyle, żeby
zupelnie sił nie stracić.

Dnia 15-go września o północy ubrałam się bar-
dzo skromnie i wzięwszy z sobą tylko pieniądze, *dzien-
nik* i stary paszport amerykański, na szczęście znale-
ziony w głębi kuferka, po cichu wybiegłam z zamku.
Wszyscy byli przekonani, że jestem bardzo chora, za-
niedbano więc pilnować mię. Lękałam się tylko, czy
nie spotkam kogo przy baszcie wchodowej, zawsze za-
ryglowanej. Dziś jeszcze uważam to za cud, że zdo-
łałam otworzyć furtkę w baszcie, nie obudziwszy szwaj-
cara. Wydostawszy się z zamku, poszłam w stronę
Koblencji, unikając dworców kolejowych.

Wiedziałam, że przed ósmą rano nikt nie zauwa-
ży mego zniknięcia, o tej godzinie bowiem przynoszo-
no mi kawę. O szóstej udało mi się zmienić moją po-

wierzchność. Dzięki ulewie, zesłanej istotnie przez Opatrzność, miałam pozór kupienia od wieśniaczki grubego płaszcza wełnianego, głowę zaś związałam wielką kolorową chustką, którą zabrałam z sobą. W tem przebraniu mogłam ująć za chłopkę. Staralam się mówić jak najmniej, żeby nie odróżnić się cudzoziemskim akcentem. Około południa musiałam jednak zatrzymać się w miejskiej gospodzie. Powiedziałam, że idę do Koblencji pożegnać się z bratem żołnierzem, który jedzie do Francji ze swoim pułkiem. Dzięki oficerom, którzy przed wyjazdem moich uczniów odwiedzili nas, wiedziałam numer pułku, stojącego kwaterą w Koblencji.

Szłam w ten sposób przez cały dzień i spędziwszy noc w wiejskiej gospodzie, dostałam się wreszcie do Koblencji, gdzie dowiedziałam się różnych nowin „niemieckich“ o wojnie. Tam kupiłam bilet trzeciej klasy na parowiec, płynący w dół Renu. Nie śmiałam wziąć biletu do Rotterdamu, gdyż biedna wieśniaczka w chustce na głowie jadąca do Holandji, mogłaby zwrócić uwagę. Postanowiłam wysiąść w Emmerich, ostatniem mieście przed granicą holenderską i tam przebrałam się po raz trzeci. Kupiwszy kapelusz, płaszczyk podróżny i małą walizkę, podałam się za Amerykankę, którą wojna zaskoczyła w Niemczech. Paszport miałam w porządku, ale na nieszczęście był już bardzo stary i zawierał moje nazwisko, co mię nadzwyczajnie niepokoiło, gdyż prawdopodobnie po mojej ucieczce zawiadomiono o tem wszystkim stacje nadgraniczne. Może księżna nie pozwoliła mię ścigać? Może wiadomość o mojej ucieczce nie doszła jeszcze do władz w Emmerich, dosyć, że po długiej pisaninie i licznych formalnościach, pozwolono mi wreszcie przejechać przez granicę.

Wsiadłszy powtórnie na statek, szczęśliwie dojechałam do Rotterdamu, gdzie naprawdę zachorowałam. Kilka dni przeleżałam w nędznej gospodzie, gdyż sprawy w Emmerich wyczerpały skromne moje fundusze. Dopiero w pierwszych dniach października dostałam się bez wypadku do Londynu, nie przywożąc ze sobą nic, oprócz moich notatek i wspomnień z pięcioletniego pobytu w Niemczech.

K O N I E C,



Biblioteka Główna UMK



300021170686

